

I 826. 311 wyle 26/79 66

Ks. KANONIK KRZYSZTOF SCHMID.

90

POWIASTEK DLA DZIECI,

SPOLSZCZONYCH

PRZEZ

Jana Chęcińskiego.

Z 6-ma obrazkami kolorowanemi.

WYDANIE CZWARTE.



WARSZAWA.

NAKLAD GEBETHNERA I WOLFFA.

1896.

FOR THE YEAR 1861

W. H. B. & C.

1861

I 826.311





w Lit. M. Fajansa.

POZIOMKI.

Ks. KANONIK KRZYSZTOF SCHMID.

90

POWIASTEK DLA DZIECI,

SPOLSZCZONYCH

PRZEZ

Jana Chęcińskiego.

Ks. dla młodszych

Z 8-ma obrazkami kolorowanemi.

~~~~~  
WYDANIE CZWARTE.  
~~~~~

WARSZAWA.

NAKLAD GEBETHNERA I WOLFFA.

1886.



Дозволено Цензурою.

Варшава 31 Юля 1885 года.



I 826.311

W DRUKARNI S. NIEMIERY, PLAC WARECKI N. 4 W WARSZAWIE.

1972 K 902/66

DO DZIECI.

Hejże, dziatwo! chcesz książeczki?
Oto nowa,—spójrzyj z łaski...
Na jój kartkach powiasteczki,
I wierszyki i obrazki.

A w powiastkach różne rzeczy,
I moralne i ciekawe;
Każda z innéj wady leczy,
Niosąc korzyść i zabawę.

Każda piękne myśli budzi,
W każdej uczy prawda szczerą,
Jak się kocha Boga, ludzi,
Czei rodziców, biednych wspiera.

Jak poczciwym być potrzeba,
Jak złym dzieciom źle na ziemi;
Jak się zawsze Stwórca z Nieba
Opiekuje posłusznemi.

Więc z książeczką siądźmy w rzędzie,
Spamiętajmy zbawcze słówka;
Po czytaniu, codzień będzie
Lepsze serce, mędrsza główka.

To nie trudne, pójdzie łatwo;
Niech Was praca nie zastrasza;
Oh! pamiętaj droga dziatwo,
Że w nauce przyszłość Wasza!

Tłómacz.

CZEŚĆ PIERWSZA.

I.

OGRÓDEK.

Pan Wojciech był właścicielem dużego i starannie utrzymywanego ogrodu, położonego niedaleko za miastem. Ośmioletni jego synek Jaś, lubił nadewszystko oglądać prześliczne kwiaty, które tam rosły. Widząc to upodobanie, dobry ojciec wyznaczył mu częśćkę ziemi, aby mały Janek mógł się bawić sadzeniem i pielęgnowaniem kwiatków. Natychmiast ogrodnik skopał i wygrabił maleńką kwaterę, którą obsadził dookoła, jeszcze zielonemi, ale pełnemi blizkich rozwinięcia się pączków pierwiosnkami.

Po kilku dniach deszczu, ojciec z synkiem udali się do ogrodu. Jaś ucieszył się niezmiernie, ujrzawszy swoje pierwiosnki żółte, pomarańczo-

we i różowe, zupełnie rozwinięte; ale jakież było jego zdziwienie, skoro w pośrodku kwatery otoczonej niemi, spostrzegł trzy wielkie i piękne litery **J A Ś**—ułożone z drobnych listeczków ślicznego zielonego koloru.

— Co widzę!—zawołał po chwili zdumienia—wszakże to moje imię wyjrzało z ziemi!... O! mój drogi, kochany ojcze! powiedz, jakim sposobem te duże i kształtne litery mogły tak wyrosnąć?

— Ha!...—odpowiedział ojciec—może to jest dziełem prostego przypadku... może wiatr porozrzucał nasionka w ten sposób, że ich listki wyjrzawszy z ziemi, musiały koniecznie utworzyć te wyraźne litery?... Jakże ci się zdaje?

— Nie, nie! to niepodobna!—odrzekł uradowany Janek—ale czekajno, drogi ojczulku, domyślam się wszystkiego! To ty narysowałeś je na mojej kwaterze, ty, kochany ojcze zasiałeś drobne ziarneczka rzeżuchy, otuliłeś je ziemią i tym niezawodnie sposobem, te miluchne listeczki wyjrzawszy na świat, ułożyły trzy litery mego imienia! Jestem pewny: inaczej być nie mogło! Wyznaj mój dobroczyńco, żeś to uczynił, aby mi sprawić najprzyjemniejszą niespodziankę!

— A więc tak, nie przeczę— odpowiedział pan Wojciech. A teraz, kiedy jesteś pewny, że to moje dzieło, przyjrzyj się dobrze kwiatkom, które otaczają twój ogródek. Są one daleko sztuczniej narysowane, niżeli nasze litery, a do tego cudownie pomalowane najpiękniejszymi kolorami. Przypatrz się i powiedz, czy z nich nie odgadujesz Najwyższej, Najrozumniejszej Istoty, co zamknęła pierwiastki tych zachwycających kwiatków w maleńkich ziarneczkach, z których pochodzą? Czy nie odgadujesz pełnego uczucia i życzliwości serca, które dla uciechy człowieka nadaje wzrost, woń i barwę tym rozkosznym roślinom?

Na to Jaś, ze łzami w oczach, ujął obie ręce swojego zacnego ojca i zawołał:

— Oh! drogi ojcze, teraz widzę i czuję mocniej niż kiedykolwiek! Wszakże to Pan Bóg stworzył te i wszystkie inne, stokroć piękniejsze kwiaty, co napelniają Twój ogród. Pan Bóg miłosierny dał im istnienie, aby okazać, jak nas kocha!

— Nieinaczéj, mój synu—dodał pan Wojciech— nasz ogród ubarwiony kwiatami, jest jak wielka księga, w której na każdym listku, niby na drukowanej karcie, możemy czytać, ile

Pan Bóg jest dobry, miłosierny, wszechmocny
i mądry.

Cały świat, wspaniały, wielki;
Wszystkie się twory przed Stwórcą korzą:
Zarówno człowiek, jak żywiol wszelki,
Czei mądrość wszechmoc i miłość Bożą!

II.

NAJPIĘKNIEJSZE KWIATY.

Ludwik, biegając po ogrodzie, zatrzymał się
przed obsypanym kwiatami różanym krzakiem
i rzekł do swoich sióstr:

— Niech będzie co chce, ja powiadam, że
róża jest najpiękniejszą ze wszystkich kwiatów!

— Lilija, która tak bujnie wzrosła na po-
brzeżu téj kwatery, jest niemniej powabna —
odpowiedziała Karolina. Podług mnie, lilije i róże
są najpiękniejszymi kwiatami: żadne inne nie mo-
gą iść z nimi w porównanie.

— Nie zapominajcie także i o ślicznych
fijolkach, dodała Anusia — to takie miluchne
kwiateczki! Pamiętajcie zapewne, ile one radości
sprawiły nam ostatniej wiosny.

Matka usłyszawszy tę rozmowę kochanych i posłusznych dzieci, rzekła:

— Te trzy gatunki kwiatów, które się wam tak bardzo podobają, są godłem trzech najpiękniejszych cnót. Ukrywający się wśród trawki fioletek, jest symbolem skromności; biała lilija jest godłem niewinności, a ta żywym szkarłatem jaśniejąca róża, czyliż nie zdaje się mówić wam: „Dzieci! niech zawsze serca wasze goreją szczerą miłością Boga, ludzi i wszystkiego co jest zacnym, pocziwem, bo taka tylko miłość jest prawdziwą dobrocią!

Pomnić tę prawdę póki sere bicia,

Każę wam święta powinność:

„Najpiękniejszemi kwiatami życia,

Pobożność, skromność, niewinność.“

III.

R Ó Ź E.

Stefan, dzierżawca maleńkiego folwarku, dość odległego od miasta, udał się w Marcu do Warszawy, gdzie oprócz różnych potrzebnych do gospodarstwa przedmiotów, nabył krzak różany, który

po powrocie do domu, jak najspieszniej zasadził w ogrodzie. Małgosia, córeczka Stefana, która nigdy nie widziała różanego krzewu, zawołała zdziwiona:

— Co robisz, mój drogi ojcze? Jak można w samym środku i to jeszcze najpiękniejszej kwatery, zasadzać taki szkaradny, zeschnięty krzak, cały najeżony kolcami?... Śliczna ozdoba, niema co mówić! to krzaczysko oszpeci cały ogródek!

— Cierpliwości kochane dziecię, cierpliwości — odpowiedział ojciec — to szkaradne krzaczysko wyda najpiękniejsze kwiaty, jakie w życiu twojem widziałas.

Małgosia nie mogła żadnym sposobem uwierzyć w taki cud, to też potrząsnęła tylko ozdobną w loczki główką, zasmuciła się i zamilkła.

Niezdługo jednak przekonała się, że ojciec wcale z niej nie żartował. Kolczaty krzak począł kielkować i krótko okrył się pięknymi ciemnozielonemi liśćmi. Potem, z jego gałązek wydobyło się mnóstwo maleńkich, z każdym dniem wzrastających pączków. Nareszcie, kiedy już aurykle, tulipany i narcyzy przestały kwitnąć, różane pączki rozwinęły się i ów szkaradny krzaczysko (jak go nazywała Małgosia), pokrył się gęsto kwiatami, których różowego koloru, prześlicznego kształtu

i rozkosznego zapachu, córeczka dzierzawcy nie mogła się dość nachwalić.

— Jaki te róże piękne! — wołała nieustannie — daleko piękniejsze od wszystkich innych kwiatów i nie można zaprzeczyć, że są prawdziwą ozdobą naszego ogrodu!

— Moje dziecię — rzekł wówczas ojciec — widzisz teraz, że obok kolców mogły zakwitnąć tak piękne róże. Wprawdzie, przez całą wiosnę musiałaś na nie, Bóg wie z jaką niecierpliwością czekać, ale w téj chwili przekonywasz się, jak wielką prawdę zawiera przysłowie: „cierpliwość wszystko pokonywa.“ Jak z tych ciernistych krzaków powstały kwiaty, tak często z przeciwności życia radość powstaje. Trzeba wszystko znosić cierpliwie, pracować z wytrwałością, a niepowodzenia przyjmować z nadzieją.

Kolce krzewów, życia troski,
Są podobne w swój naturze;
Często wzrasta, z woli Boskiej,
Radość z trosk, jak z kolców róże.

IV.

L I L I J A.

W prześlicznym ogródku Ludwini, w samym środku kwatery obwiedzionej młodym bukszpanem, rosła lilija, w całym blasku najczystszej białości.

Ludwinia, zaledwie cokolwiek wyższa od łodygi lilii, przypatrywała się jednego poranku jój pięknemu kwiatowi, co zwilżony perełkami rosy, przy promieniach wschodzącego słońca, błyszczał niby pokryty mnóstwem brylantów. Dobra dziewczeczka popatrzywszy chwilę, wzniosła pełne wdzięczności oczu ku Temu, co stworzył słońce, rosę i kwiaty. Jój rodzice, świadkowie pobożnych uczuć córki, uradowali się tém bardzo i rzekli do siebie pociechu:

— Czyliż nasza Ludwinia, piękna i czysta jak ten kwiat, nie jest prawdziwą liliją niewinności?

Ale w niecały rok potem, Ludwinia umarła. Gdy nadszedł czas kwitnięcia lilii, niepokieszona matka zalała się łzami, wspomniawszy ukochane dziecię.

Wtedy ojciec powiedział:

— Kiedy ta lilija, teraz tak piękna, była zaledwie drobną roślinką, ukrytą w odległej ustroni ogrodu, wykopałem ją, a nasza Ludwinia bardzo się tém zmartwiła i żałowała jój mocno. Ale gdy lilija, po przeniesieniu jój na przyjaźniejszy kwiatom grunt, stała się ozdobą ogrodu, Ludwinia, pełna radości dziękowała mi, żem przesadził ulubiony jój kwiat. Dlatego właśnie otrzej łzy, Kochana, tkliwa matko! pociesz się raczej, bo dziecię nasze przeniesione w lepszy świat z téj ziemi, kwitnie teraz w niebiosach, w gronie Bożych Aniołów!..

Z nędzy świata, z cierpień ziemi
Przeniósł Bóg na inną niwę,
Naszę lilję, kwiat czystości;
Ona teraz między temi,
Co swobodne, co szczęśliwe,
Zawsze kwitną, zawsze hoże,
Tam, gdzie zwiędnąć nic nie może:
W Niebie, w ogrodzie wieczności!

V.

G W O Ź D Z I K.

Pewien ogrodnik wyhodował w swoim ogrodzie przepyszny gwoździk, którego żywe kolory i rozkoszny zapach zachwyciły wszystkich.

Zdarzyło się, że jakiś znakomity pan wszedł ze swoją żoną do ogrodu i oboje zaczęli się uważnie przypatrywać prześlicznemu kwiatowi.

Nareszcie pan odezwał się:

— Kolory tego gwoździka, jak uważam, nie mają w sobie nic nadzwyczajnego, ale zapach bardzo miły i w samą rzecz niepospolicie!

— Cóż znowu?—przerwała żona—ja sądzę zupełnie przeciwnie. Podług mnie, barwy tego kwiatu są nieporównane, szkoda tylko że ów sławny gwoździk niema żadnego zapachu!

Ogrodnik nie mógł zrozumieć tak niezgodnego sądu, nadaremnie dość długo łamał sobie głowę; aż nareszcie dostrzegł, że ganiący barwę jegomość miał bardzo krótki i osłabiony wzrok, a nie mogąca uczuć zapachu dama była mocno zakatarzoną.

Wtedy rzekł sam do siebie:

— Niestety! to co się wydarzyło mojemu pięknemu i wonnemu gwoździkowi, przytrafia się daleko piękniejszym i szacowniejszym rzeczom. Niekiedy nawet najrozumniejsze, najszlachetniejsze myśli, najświętsze istnienia, najznakomitsze utwory, dla ludzi nie mających wyrobionego sądu lub dostatecznego pojęcia do ocenienia ca-

łej ich wartości, są przedmiotem niewłaściwych nagan i nieuzasadnionej krytyki.

Jeżeli w naszych poglądach, na właściwej cenie
Tracą czasem dzieł Bożych prawa i powaby;
Znać nie możemy ich zbadać: bo nasz wzrok zasłaby,
Bo nam braknie pojęcia na ich zrozumienie.

VI.

KONWALIA.

Rózia, której ojciec był biednym wyrobnikiem, mocno zachorowała. Skoro się o tem dowiedziała Matylda, córka miejscowego podsędka, przybiegła natychmiast do ich mieszkania, ażeby czuwać nad chorą i odtąd przychodziła codziennie, przynosząc z sobą garnuszek wyborowego rosółu, bo biedna Rózia nie mogła przyjmować żadnego innego pożywienia.

Kiedy już chora wyzdrowiała, rzekła do siebie:

— Mój Boże! jaka to dobra panienska ta Matylda! z jakim ona poświęceniem pielęgnowała mnie w czasie choroby i jeszcze dzień w dzień, sama przynosiła mi garnuszek smacznego rosółu!

Jakżebym była szczęśliwą, gdybym się czemkolwiek mogła jój wywdzięczyć; gdybym choć mogła sprawić jój jaką przyjemność!...

Długo tak przemyśliwała, aż pewnego dnia dowiedziała się, że Matyllda lubi bardzo konwalią. Zaraz więc na początku Maja pobiegła raniuteńko do lasu, ażeby dla swój kochanej opiekunki zbierać piękny bukiet.

Po dość długiem poszukiwaniu, spostrzegła mnóstwo konwajij rosnących w cieniu odwiecznego dębu, nazbierała więc tyle, ile jój było potrzeba; potem usiadłszy pod tym samym dębem, ułożyła w kształtny bukiet ładne zielone listki i powabne kwiatki, zupełnie podobne do gron, jak śnieg białych dzwoneczków. Właśnie kończyła swoją pracę, kiedy nagle dobiegły ją słowa dwóch złoczyńców, rozmawiających za poblizkimi krzakami.

— Nareszcie—mówił jeden z nich—trafia się nam wyborna sposobność, pomścić się nad podsędkiem, który za kradzież skazał mojego brata na uwięzienie. Zdobyłem klucz od jego domu, zostawiony w drzwiach, przez nierozważną służbę.

— Doskonale!—odpowiedział drugi. Téj nocy zabijemy podsędka, zamordujemy żonę i cór-

kę jego, potem zabierzemy wszystkie pieniądze, jakie się znajdują w domu.

Skoro umilkli, przejęta trwogą Rózia wstała pocichuteńku, zabrała bukiet i o ile mogła najostrożniej wymknęła się z lasu, a przybiegłszy do mieszkania Matyldy, opowiedziała jęj całą rozmowę dwóch niegodziwych ludzi. Wieczorem, podsędek zwołał potajemnie parobków i stróżów swojego i sąsiednich domów, a uzbroiwszy ich należycie, zaczął się z nimi w korytarzu. O północy zbrodniarze otworzyli drzwi, ale jak tylko weszli do sieni, zostali przez parobków powiązani i odprowadzeni do więzienia, gdzie niezadługo, oprócz zamiaru wymordowania całej rodziny podsędką, przyznali się do wielu innych, już dawniej popełnionych zbrodni.

Tym sposobem ocalony podsędek, rzekł do swojej córki:

— Drogie dziecię, twoja dobroczynność zjednała naszemu domowi wielkie błogosławieństwo Niebios. Tyś przyczyniła się do wyzdrowienia Rózi, zanosząc jęj codzien trochę rosolu, a ona, przy pomocy Bożęj, ocaliła nam wszystkim życie.

Gdy nieszczęśliwy o wsparcie dziś błaga,
Dzielcie się chlebem, bądźcie dlań łaskawi:

Jutro was czeka większa może plaga,
Od której Chrystus przez niego wybawi.

VII.

NIEZAPOMINAJKI.

Małeńka Zosia, nabiegawszy się po ogrodzie, rzekła do swojej matki:

— Moja droga mammo, jak się nazywają te drobne niebieskie kwiateczki, co rosną nad brzegiem przezręczystego strumyka? Widziałam nieraz podobne do nich wyhaftowane, albo wymalowane, ale nie znam ich nazwiska.

— Te ładne i wdzięczne kwiateczki jasnoniebieskiego koloru, nazywają się niezapominajki—odpowiedziała matka—dlatego, że mamy zwyczaj dawać je na pamiątkę przyjaciołom, z którymi się na dłuższy czas rozłączamy.

— Co do mnie—odrzekła Zosia wesoło—nigdy się jeszcze nie oddalałam ani od rodziców, ani od siostr, ani od moich przyjaciół; nie znam więc żadnej osoby, którąby mi te kwiateczki przypominały.

— A jednak—odezwała się matka—wymie-
nię Istotę, którą ci w każdej chwili przypominać
powinny: tą Istotą jest Bóg. Niema w całym
ogrodzie najmniejszego kwiatka, najdrobniejszej
trawki, któreby nie przypominały Tego, co je
stworzył, Tego co jest i naszym Stwórcą.

Gwiazdy Niebios, kwiaty ziemi,
Są dziełami, Stwórcu, Twemi;
One mówią: „działwo droga,
Nie zapominajcie Boga!“

VIII.

R E Z E D A.

Wesoła, ale uważna Felunia, zapytała matki:

— Dlaczego kochana mama najlepiej lubi
stawiać na oknach te niskie zielone krzaczki, za-
sadzone w takich ozdobnych doniczkach? Wszak-
że w naszym ogrodzie mamy mnóstwo daleko
piękniejszych kwiatów. Radabym bardzo wie-
dzieć, z jakiej przyczyny ta niepozorna roślinka
otrzymuje pierwszeństwo?

— Prawda — odpowie matka — ta skrom-
na roślina zwana rezeda, nie jaśnieje ani szkar-

łatem wspaniałej róży, ani białością lilii, ani rozmaitemi kolorami tulipanu; ale te kwiatki z pozoru niepowabne, obdarzone są miłym zapachem, przyjemniejszym nawet od woni róży. Aż do końca jesieni, a nawet w zimie, kiedy wszystkie inne kwiaty dawno powiędną, rezeda napelnia jeszcze mieszkanie swoim wdzięcznym zapachem. Dlatego téż ten kwiatek jest wyobrażeniem cnoty cichój i skromnej, co jedynie posiada prawdziwą wartość: taka cnota przetrwa wszelkie czyny głośnie, które im żywiój dopominają się chwały, tém prędzej tracą powab i zupełnie znikają.

Jak kwiatu, tak człowieka postać okazała,
 Cóż znaczy, gdy złe serce powierzchowność zgłuszy?
 Nie przywiązujemy ceny do piękności ciała,
 Bo *prawdziwą wartością są przymioty duszy.*

IX.

WIENIEC Z KWIATÓW.

Czcigodny, pełen dobroci starzec obchodził ośmdziesiątą rocznicę swoich urodzin. Zgromadzone dookoła niego dzieci winszowały, roniąc łzy szczę-

ścia i całując mu ręce z głębokiem wzruszeniem; tymczasem drobne wnuczęta podawały ukochanemu dziadzi wieniec ze świeżych róż i lilij.

Babunia, obecna tak rzewnej uroczystości, rzekła:

— Ten piękny wieniec z róż i lilij jest prawdziwym wyobrażeniem radości, jakiej doznajecie na widok zdrowia, kwitnącego pod srebrnymi włosami waszego dziadka; najpiękniejszym jednak wieńcem, jaki rodzice i praojcowie otrzymać mogą, są dzieci i wnuki, kwitnące jako róże, a niewinne i czyste jak lilije.

Słyszac to dziadek, zwrócił się do rodziny i dodał:

— Ażeby wasi rodzice wraz z nami mieli zawsze to szczęście, polecę zdolnemu malarzowi odmalować dzisiejszy wieniec z kwiatów. W środku każę złotemi literami wypisać wyrazy, które każde dziecię, obdarzone od Boga drogocennym rumieńcem niewinności, powinno wyryć głęboko w swem sercu:

Dziecię, co w łasce Bożej chce przejść życia burze,
Niech oberze za godło lilję i różę:

Gdzie się dusza skromnością równa z lilią kwiatem,
Tam Bóg ozdobi lica różanym szkarłatem.

X.

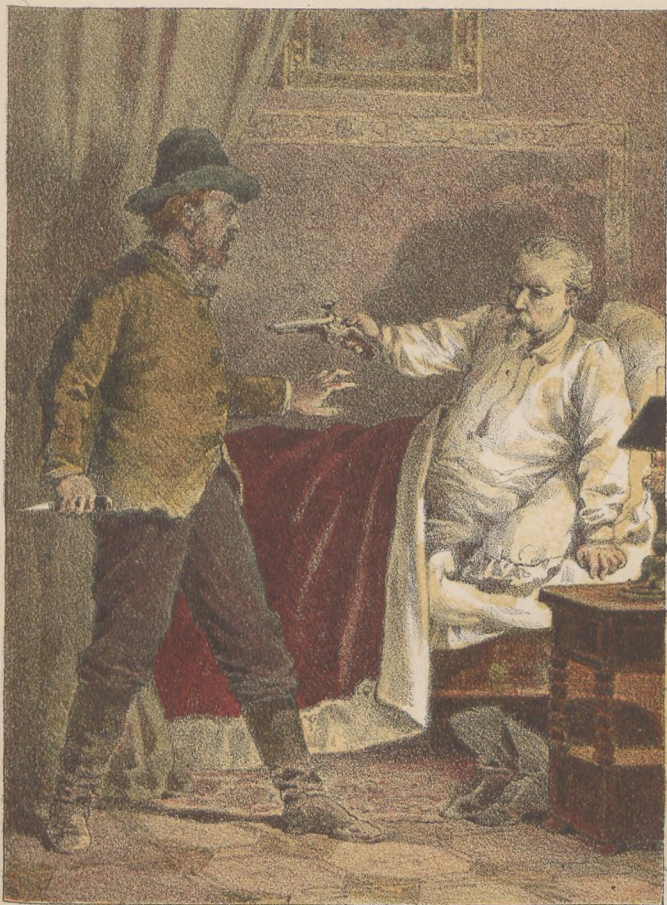
POZIOMKI.

1.

Do pewnej wioski przyszedł o kuli stary wysłużony żołnierz i nagle zachorował. Nie mogąc iść dalej, biedny wojak musiał położyć się w stodole na garstce słomy, gdzie jego bolesne jęki wzbudzały litość wszystkich przechodniów. Jednakże z wielu wieśniaków, cokolwiek zadługo ociągających się z pomocą, Jadwinia, córka ubożego koszykarza, przybiegła najprędzej, a dobre, miłosierne jój serduszko zostało przejęte najżywszém współczuciem dla nieszczęśliwego żołnierza. Codzień więc przychodziła go odwiedzić i codzień przynosiła mu dwadzieścia groszy.

Trwało tak dosyć długo, aż jednego wieczora, zacny żołnierz odbierając to wsparcie od Jadwisi, zapytał z pewną niespokojnością:

— Moje drogie dziecię, przed chwilą właśnie dowiedziałem się, że twoi rodzice są bardzo ubodzy; powiedzże mi szczerze i otwarcie, zkąd bierzesz te pieniądze, bo wolałbym umrzeć z głodu, aniżeli przyjąć jeden szeląg, którego byś nie mogła ofiarować mi z czystem sumieniem.



w Lib. M. Hajansa.

ŁUPINKA ORZECHA.

BIBLIOTEKA
BN
NARODOWA

— Oh!—odpowiedziała Jadwisia—bądź pan zupełnie spokojnym, te pieniądze są uczciwym sposobem nabyte. Co rano idę do szkoły do sąsiedniego miasteczka i co rano muszę przebywać małeńki gaik, gdzie jest mnóstwo poziomek; wychodzę więc wcześniej z domu i za każdym razem zbieram ich pełen koszyczek; potem zanoszę do miasta i codzień dostaję za nie od pewnych państwa dwadzieścia groszy. Moi rodzice dobrze wiedzą komu oddaję te pieniądze i nie sprzeciwiają się wcale. Oni powtarzają często, że jest na świecie wielu ludzi daleko biedniejszych od nas i że powinniśmy im ile możności dopomagać.

Na taką odpowiedź, dwie duże łzy zwilżyły twarz i wąsy starego żołnierza.

— Szlachetne dziecko!—zawołał—niech Bóg Najwyższy wynagrodzi tobie i twoim poczciwym rodzicom, za takie piękne, takie zacne uczucia ludzkości!

Z dobrą chęcią, droga dziatwo,
Czynić dobrze bardzo łatwo;
Z tych co sami nie bogaci,
Kto w zacności ma doradcę,
Dla biedniejszej znajdzie braci
I kęs chleba i kąs w chatce.

2.

W kilka dni potém, jakiś generał ozdobiony mnóstwem orderów, przejeżdżał przez wioskę. Wspaniały jego powóz zatrzymał się przed oberżą, aby strudzone konie mogły cokolwiek wypocząć. Jak tylko bogaty podróżny, a do tego wojskowy, wszedł do gościnnéj izby, doniesiono mu o chorym żołnierzu, którego poszedł natychmiast odwiedzić.

Stary wojak przedewszystkiem opowiedział mu o dobroczynności swojej młodziuchnéj opiekunki.

— Jakto!—zawołał generał—biedna małeńka okazała dla ciebie tyle dobroci! Czyliż ja, który niegdyś byłem twoim dowódcą, okaże się mniej uczynnym niż ona? Nie! nie! mój stary towarzyszu! idę natychmiast wydać rozkaz, aby cię przeniesiono do oberży i tam otoczono najtroskliwszemi staraniami!

To powiedziawszy pobiegł do gościnnéj izby, wydał stosowne polecenie, a potém udał się prosto do chatki w którój mieszkała Jadwisia.

— Dobroczynne dziecie!—rzekł z głębokiém wzruszeniem — twoje współczucie, twoja litość

dla starego żołnierza, lzy wycisnęła mi z oczu. Ofiarowałaś mu nie mało dziesięciogroszówek; otóż ja za każdą z nich oddaję ci nowiuteńkiego dukata.

Rodzice Jadwisi, zdumieni na widok tylu sztuk złota, zawołali z nieśmiałością:

— To zawiele, jaśnie wielmożny panie!

— Nie—odrzekł generał—to nagroda wcale niewyrównywająca szlachetnemu uczynkowi tego dziecka; ale kiedyś, Bóg waszą córkę stokroć wspaniałej wynagrodzi w Niebie!

Dobroczynność święta, słodka,
Litość dla tych co w potrzebie,
Nie zostaną bez nagrody:
Wdzięczność je na ziemi spotka,
Potem, by odpłacić w Niebie,
Bóg na wieczne wezwie gody!

XI.

W I Ś N I E.

Sabinka, córka bardzo bogatych rodziców, zajmowała śliczny, ozdobnie umeblowany pokój; ale ktokolwiek wszedł do niego, doznawał nie-

przyjemnego wrażenia na widok nieładu, jaki tam panował. Sabinka pomimo napomnień, a nawet groźb swojej matki, nie chciała nigdy zająć się uporządkowaniem swojego mieszkania.

Pewnej niedzieli po południu, kiedy Sabinka, skończywszy się ubierać, miała wyjść z rodzicami na przechadzkę, córka sąsiada przysłała jej koszyczek przeslicznych ciemnych czereśni. Ponieważ stół, krzesła, komoda, a nawet okna, zarzucone były ubraniem i różnemi przedmiotami, Sabinka postawiła tymczasowo koszyczek na fotelu, obitym jedwabną niebieską materią i pobiegła na spacer.

Wróciwszy szarą godziną, weszła natychmiast do swego pokoiku, a będąc mocno znużoną, rzuciła się na fotel. Ale zaledwie to uczyniła, zerwała się z krzykiem przerażenia, bo właśnie zapomniawszy o przysłanym podarunku, usiadła na koszyku pełnym wisien.

Na krzyk nierozważnej dziewczynki, matka nadeszła ze świecą. Wyobraźcież sobie, jaki widok przedstawił się jej oczom! Czereśnie, co do jednej, były zupełnie pogniecione; ciemnoczerwony sok spływał strumieniem po fotelu i po białej nowiuteńkiej sukience Sabinki; po sukience, którą téj niedzieli właśnie miała pierwszy

raz na sobie i którą tym wypadkiem zupełnie zniszczyła!

Widząc to matka, surowo ją napomniała.

— Przekonałaś się—rzekła—jak we wszystkim potrzebny jest porządek, jak każdą bagatelkę w twoim pokoiku, powinnaś kłaść na swoje miejsce. Dzisiaj zostałaś słusznie i dobrze ukaraną za nieład, z którego pomimo przestróg matki, nie chciałaś się poprawić: bodajby ta nauka odniosła lepszy skutek.

W najmniejszej rzeczy, porządku związek

Ułatwia pracę i obowiązek;

Bez ładu, dobra chęć się nie ziści:

Poniesiem szkodę zamiast korzyści.

XII.

J A B Ł O N K A.

Janek i Zosia starali się zawsze być posłusznymi i wdzięcznymi swoim dobrym rodzicom. Kiedy pewnego dnia pomagali im pracować w ogrodzie, ojciec rzekł:

— Wartoby jeszcze jedno drzewko zasadzić w pustym rogu téj kwatery; muszę postarać się o nie.

Właśnie nadchodziły imieniny tego uczciwego rolnika. Dzieci niezapominające nigdy o takiej uroczystości, zgromadziły oszczędzone przez siebie pieniądze i zakupiły śliczną młodą jabłonkę. W wilią niecierpliwie oczekiwanego dnia, wsunęły się potajemnie do ogrodu, aby zasadzić drzewko w miejscu wskazanem.

— To się dopiero ojciec ucieszył! — mówiły jedno do drugiego — toż będzie kontent, gdy jutro raniuteńko zobaczy w ogrodzie naszą śliczną jabłonkę!

Zabrali się więc do pracy; Zosia przytrzymała drzewko, a Jaś zaopatrzony ojcowskim szpadlem, kopał na nie dołek. Nagle posłyszeli jakiś chrzęst i brzęk, szpadel nie chciał iść głębiej, oparłszy się o coś twardego; Jaś schylił się niecierpliwie i wy dobył dzbanek, w którym zdziwione dzieci dostrzegły przy świetle księżyca, mnóstwo złotych i srebrnych pieniędzy.

— Skarb! skarb! — zawołali oboje w uniesieniu radości — i czempredź pobiegli donieść rodzicom o szczęśliwym wypadku.

— Drogie dzieci! — powiedział ojciec — Bóg chciał wynagrodzić przywiązanie, jakim otaczacie dawców waszego życia. Stwórca nie zapomina nigdy o miłości dzieci względem rodzi-

ców i zawsze ją wynagradza, a jeżeli nie w tak nadzwyczajny sposób, jak waszą, to w inny, równaż przynoszący pociechę. Bądźcież zawsze grzecznymi, posłusznymi; kochajcie ojca i matkę, a Bóg ześle wam skarby daleko droższe, i szacowniejsze, niżeli złoto i srebro.

Dziecku, co ojca, matkę czei, co ukochane
Zawdzięcza ich uczucia, uczuciami swemi,
Ojciec Ojców, Bóg Wielki przyrzeka w zamianę
Swoję miłość w Niebiosach, opiekę na ziemi.

XIII.

JABŁKA.

Jerzy, chłopiec rozpustny i nieposłuszny do najwyższego stopnia, zajmował pokoik, którego okno wychodziło na ogród owocowy sąsiada i co rano wyglądał nań pożądliwie. Mnóstwo ślicznych czerwonych jabłek rozrzuconych na trawie, podszepnęło mu raz bardzo złą myśl.

Zbiegł ze wschodów, weisnął się do sadu dziurą upatrzoną w parkanie i wszystkie swoje kieszenie wypchał jabłkami, ile się zmieściło.

Nagle, sąsiad wszedł do ogrodu z kijem w rękę. Spostrzegłszy go, Jerzy natychmiast po-

skoczył ku parkanowi, ażeby uciec tą samą drogą, którą wszedł.

Ale niestety! kieszenie napelnione jabłkami, nie pozwalały mu precyśnie się ciasnym otworem. Sądźcie jak drżał, widząc się schwytanym na gorącym uczynku, jaki go wstyd ogarnął, skoro jako niegodny złodziej stanął przed sąsiadem.

Najpierw musiał oddać wszystkie zabrane jabłka, potem sąsiad, otrzepawszy mu porządnie plecy, rzekł:

— Niedobry chłopcze! żeby ci drugi raz nie przyszła chętka przywłaszczania cudzej rzeczy, spamiętaj dobrze następującą przestrożę:

„Nie kradnij“—mówi siódme przykazanie!
Komu przychodzi ta chętka obrzydła,
Zwykle sam wpada w swoje własne sidła,
W których wstyd znajdzie i kijem dostanie.

XIV.

WIELKA GRUSZA.

Stary Mateusz siedział sobie w cieniu rozłożystej gruszy, rosnącej przed jego domkiem. Wnuk i wnuczka Mateusza zajadali właśnie soczyste

owoce z tego drzewa i nie mogli się dość nachwalić wybornego ich smaku.

Wtedy dziadek tak się odezwał do nich:

— Kochane dzieci! muszę też opowiedzieć wam, jakim sposobem to drzewo zostało tutaj zasadzone.

Pewnego dnia, kiedy ten cały kawałek gruntu był zupełnie pusty, siedziałem właśnie na tem samem miejscu, gdzie dziś wyrasta nasza wspólna grusza, a wspomniawszy o mojem ubóstwie, zacząłem rzewnie płakać. Jeden z moich sąsiadów, człowiek bardzo rozumny i bogaty, zbliżył się do mnie i zapytał o powód mojego żalu. „Ach! zawołałem łkając, gdybym mógł uzbierać sobie choć sto złotych gotówki! z takim zapasem mógłbym łatwiej uniknąć nędzy i zabezpieczyć przyszłość moich dzieci!“

— Ha!—odpowiedział sąsiad—nie widzę w tém nic trudnego, byleś tylko wiedział od czego zacząć. W tém właśnie miejscu, na którym siedzisz, jest ukryte w ziemi daleko więcej niż sto złotych, ale trzeba je umieć wydobyć.

Byłem jeszcze wówczas młodym i niedoświadczonym, dlatego też nie zrozumiałem prawdziwego znaczenia słów mojego sąsiada. Skoro nadeszła noc, wziąłem szpadel, latarkę, przyszedłem

tutaj i wykopałem głęboki dół; ale niestety nie znalazłem ani jednej złotówki!

Nazajutrz rano, sąsiad zobaczywszy moją pracę, wybuchnął śmiechem.

— Prostuduszny i niedoświadczony człowieku!—rzekł, podając mi przyjaźnie rękę—nie rozumiałeś mnie wcale. Ale ponieważ dół już wykopany, dam ci z mojej szkółki młodą gruszkę; zasadzisz ją tutaj a w kilka lat będziesz z niej miał tyle, ile pragniesz.

Poszedłem za jego radą. Młode drzewko coraz piękniej się rozrastało i co rok więcej wydawało owoców tak, że po kilkunastu latach za pieniądze zebrane ze sprzedaży soczystych gruszek, wybudowałem domek i zabrałem się do założenia obszerniejszego ogrodu; tym sposobem, zaoszczędziłem na starość więcej niż jedno sto złotych, a od pierwszej korzyści, jaką mi przyniosło to urodzajne drzewo, pojąłem znaczenie słów sąsiada, które do grobu nie wyjdzie z mojej pamięci:

Ci, co na wypadki liczą,
Uzas najdroższy próżno tracą:
Chcesz mieć korzyść niezwodniczą?
Zyskasz ją cierpliwą pracą.

XV.

GRUSZKA W CUKRZE.

Znakomita dama zawiozła swego syna Adolfa na dwór księcia, gdzie po długich staraniach zdołała mu wyjednać miejsce pazia. Odjeżdżając, nie mogła wstrzymać lez, do których dołączyła napomnienia i przestrogi, jakie tylko z serca najtkliwszej matki wypłynąć mogą.

— Drogi synu! — dodała nareszcie — myśl zawsze o Bogu, niechaj każda twoja czynność zaczyna się od westchnienia do Stwórcy, aby ją pobłogosławił. Szanuj i kochaj księcia, twojego pana, jak własnego ojca, a towarzyszom okazuj braterskie przywiązanie. Przedewszystkiem wystrzegaj się jednej z najgorszych i najuporeczywszych twoich skłonności, to jest łakomstwa.

Już dość długo Adolf przebywał u dworu, kiedy pewnego dnia wyznaczono mu honorową służbę przy stole. Kamerdynerowie podawali paziowi srebrne półmiski z potrawami, które on z kolei podawał księciu, a gdy pod koniec obiadu oddano mu półmisek z osmażonemi w cukrze gruszkami, ich zapach wydał się Adolfowi

tak ponętym, że żadnym sposobem nie mógł się oprzeć chęci pokosztowania choć jednej. Przyszły mu wprawdzie na myśl przestrogi matki, ale łakomstwo zagłuszyło w jego sercu głos obowiązku: uległ nieszczęśliwej skłonności. Przecho-
dząc przez pustą salę poprzedzającą pokój ja-
dalny, pochwycił jedną z gruszek i połknął ją
chciwie; lecz zaledwie postawił półmisek na stole,
padł i w téj chwili skonał. Gruszka, bardzo
jeszcze gorąca, poparzyła mu gardło i wnętrzności.

Niech się każdy łakomstwa ze wszystkich sił chroni,
Jak ono zgubnym grzechem, przykład w téj powieści:
Łakomstwo jest owocem pięknych barw i woni,
Co we środku robaka lub truciznę mieści.

XVI.

ŚLIWKI.

Pani Halicka z czworgiem swoich dzieci udała się w odwiedziny do swojego ojca, który przyjął kochanych gości w pięknym ogrodzie. Po chwili dziadek przyniósł wnukom na winnym liściu cztery duże, żółte jak złoto śliwki. Byłby przyniósł więcej, ale tylko tyle znalazł dojrzałych.

— Moje dziateczki!—rzekł uśmiechając się żartobliwie—daję wam cztery śliwki, szukajcież same sposobu, jakimby je można nierozłamując, podzielić na pięć osób.

— Ja podejmuję się tego—zawołała Leosia—najstarsza z dzieci. Niech mi tylko mama i dziadzio pozwolą ułożyć liczby parzyste z nieparzystymi.

— Mama i dziadunio zgodzili się na to, a Leosia wzięwszy cztery śliwki, rzekła:

— Moja siostra, ja i jedna śliwka, czynią razem trzy; moi dwaj bracia i jedna śliwka, to będzie także trzy; mama i dwie śliwki, uczynią tę samą liczbę. W ten sposób, podział jest równy i żadnej śliweczki nie trzeba rozłamywać.

Bracia i siostra Leosi byli zachwyceni tą rachubą, ale pani Halicka ucieszona dowcipem a szczególnie dobrem serduszkciem swojej córki, prosiła, aby każde z dzieci przyjęło po całej śliwce. Prócz tego, dziadunio ofiarował piękny bukiet Leosi, mówiąc:

— Twój dowcipny pomysł przynosi nie mały zaszczyt główce, ale daleko większy twojemu sercu, pełnemu miłości dla rodziców.

Dowcip zachwyca, dziwi, szanować go trzeba;
Ale szlachetne serce, droższym darem Nieba.

XVII.

O R Z E C H.

Pod wielkiem orzechowem drzewem, wznoszącym się niedaleko miasta, dwaj braciszkwowie znaleźli jeden orzech.

— On do mnie należy!—zawołał Ignas—bo ja go pierwszy spostrzegłem.

— Nie! to mój orzech—odpowiedział Walus—bo ja go pierwszy podniosłem!

I dwaj bracia rozpoczęli żywą sprzeczkę: jeden drugiemu w żaden sposób nie chciał ustąpić.

— Przestańcie się kłócić, moi dobrzy przyjaciele—rzekł do nich starszy mocniejszy chłopiec, który nadszedł w tej chwili—ja was natychmiast pogodzę.

— Dobrze!—zawołali bracia, a przybysz stanawszy między niemi, rozłupał orzech, mówiąc:

— Ta skorupka należy się temu, co pierwszy spostrzegł orzech; ta druga temu, który go podniósł, ziarnko zaś biorę sobie, jako honorarium za przeprowadzenie sprawy i kosztą wyroku.

Potém rozśmiawszy się dodał:

— Tak kończą się wszystkie procesa.

Strzeżcież nas od procesów, Nieba najlaskawsze!
Nigdy z nich niema zysku, stracić można zawsze.

XVIII.

ZIELONY ORZECH.

Helenka znalazła w ogrodzie włoski orzech, powleczone jeszcze zieloną łupiną. Pewna, że to maleńkie jabłuszko, chciała go zjeść, ale zaledwie ugryzła, rzuciła na ziemię, wołając:

— Ach! jakie to jabłko gorzkie!

Jój starszy brat Stasio podniósł natychmiast orzech, obłupał z zielonej kory, zgryzł łupinę i rzekł do siostrzyczki:

— Widzisz Helenko, ja nie zniechęciłem się wcale tą zieloną i gorzką łupiną, bo dobrze wiem, że się pod nią znajduje słodkie ziarno, które tem jest przyjemniejsze i smaczniejsze, im więcej trudności przyniosło oddzielenie goryczy i rozłupanie twardej powłoki orzecha.

Gdzie się piękny cel uśmiecha,
Poświęcenie nie jest marnem;
Trud, łupiną u orzecha,
Korzyść, słodkiem jego ziarnem.

XIX.

ŁUPINKA ORZECHA.

Stary i zacyjny hrabia Sławomir był gorliwym obrońcą prawdy i sprawiedliwości, to też wszyscy, którzy nie postępowali podług sumienia i prawa, byli jego nieprzyjaciółmi. Kilku z nich do tego stopnia oburzyło się przeciw hrabiemu, że poprzysiągłszy jego zgubę, udali się do zbójcy, który za znaczną pieniężną sumę podjął się zabić Sławomira następnęj nocy.

Szlachetny hrabia nie przeczuwał grożącego mu niebezpieczeństwa. Wieczorem odwiedzili go młodzi synowcy, których, uradowany z obecności tych grzecznych i ładnych dzieci, ucęstował jabłkami, gruszkami, winogronami i orzechami. Skoro odeszli, hrabia udał się na spoczynek, a poleciwszy swoją duszę Boskiej opiece, spokojnie zasnął.

Okolo północy morderca wcisnął się nieopstrzeżenie do pałacu i wszedł na palcach do sypialni hrabiego. Dobry starzec zasypiał głębokim snem; przy jego łóżu paliła się nocna lampka, przysłonięta zielonym jedwabnym ekranem, który jeszcze bardziej łagodził blade jęj



w Lit. M. Fajansa.

RZEPA.

BIBLIOTEKA
BN
NARODOWA

światło. Zbójca wiedziony tym połyskiem, postępował ostrożnie prosto do łoża, trzymając w prawej ręce dobrze wyostrzony sztylet. Kiedy już miał ugodzić w serce ofiary, jakiś nagły i mocny chrzęst rozległ się w pokoju i niespodziewanie zbudził hrabiego. Morderca stanął jak skamieniały, a Sławomir spostrzegłszy co mu zagraża, porwał się z łoża, chwycił jeden z wiszących na ścianie pistoletów i wziął go na cel. Tak niespodziewanym obrotem rzeczy strwożony zbójca upuścił sztylet, a padłszy na kolana począł błagać o litość. Tymczasem Sławomir nie tracąc przytomności, zadzwonił na służących, którzy w pół godziny potem, odwieźli związanego zbrojnicę do więzienia, gdzie niezadługo wydał wszystkich współników swojego zamachu.

Ochłonawszy z pierwszego wzruszenia, hrabia Sławomir zapragnął poznać przyczynę hałasu, który go zbudził. Dziwna rzecz! jedno z dzieci, przez nieostrożność, upuściło na podłogę skorupkę od orzecha, na którą zbójca nastąpił i zgniótł swoim ciężarem.

— Dobry Boże!—zawołał wtedy starzec—dzięki Twojej cudownej Opatrzności, drobna łupinka od orzecha dostateczną była, aby mi życie

ocalić, aby zniweczyć zbrodniczą znowę złych
ludzi i wydać ich pod miecz sprawiedliwości!

Wszchemocny Stwórca Nieba i ziemi,
Czuwa bez przerwy nad dziećmi swemi;
Gdzie zamach zbródni cnocie zagraża,
Zbawi od złego, zgnębi zbrodniarza.

XX.

POZŁACANE ORZECHY.

W wilią Bożego Narodzenia kilkoro dzieci pła-
sało radośnie około pięknej choinki, na której
gałązkach paliło się dwadzieścia kolorowych świe-
czek i polyskało mnóstwo złoconych orzechów.
Najmłodszy z rodzeństwa Piotruś napierał się
koniecznie, aby mu rodzice pozwolili zjeść kilka
z nich.

— Moje dziecię — powiedziała matka — te
orzechy są tylko dla ozdoby drzewka, nie trzeba
ich ruszać. Jeżeli masz apetyt, oto inne, daleko
lepsze.

Ale Piotruś wołał z płaczem:

— Ja nie chcę tych czarnych, ja chcę orze-
chów złotych, które muszą być sto razy sma-
czniejsze!

Niekiedy najlepszą karą dla upartego dziecka, jest uleść jego grymasowi. Dlatego też matka dała złocene orzechy Piotrusiowi, a wszystkie ciemne rozdzieliła między inne dzieci.

Piotruś z wielką radością zabrał się czemprędzej do roztluczenia pięknych skoruppek. Ale jakże się zasmucił, spostrzegłszy, że wszystkie były puste; jakże się zawstydził, stawszy się przedmiotem wesółych żartów i śmiechów swoich braci i sióstr!

Wtedy ojciec powiedział:

— Te orzechy nie były przeznaczone do jedzenia, użyłem ich tylko na ozdobę choinki; posklejałem puste skorupki i powlekłem każdą płatkami fałszywego złota. Zresztą, moje kochane dziatki, wiele jest rzeczy na świecie podobnych zupełnie do tych orzechów; świecą one z wierzchu, a wewnątrz nie zawierają nic. To też proszę was, abyście spamiętały tę przestrożę:

Niech złudzenia w was nie nieci
 Powierzchność często marna,
 Próżno ona złotem świeci,
 Gdy we środku niema ziarna.

XXI.

K A S Z T A N Y.

Wojtuś był bardzo łakomy. Jak tylko dostał od rodziców kilka groszy, natychmiast wydawał je na łakocie. Pewnego dnia wszedłszy do kupca po lodowaty cukier, spostrzegł skrzynię napełnioną pięknymi kasztanami. Ponieważ dotąd widywał tylko kasztany dzikie, które dla zabawki zbierał podczas jesieni w Saskim ogrodzie, zapytał kupeczyka, czy i te również są gorzkie.

— Bynajmniej—odpowiedział kupeczyk—to nie tutejsze; one pochodzą z Indyi: kup panicz na próbę, a przekonasz się jakie smaczne, zwłaszcza upieczone w gorącym popiele.

Na nieszczęście Wojtuś wydał ostatnie trzy grosze na lodowaty cukier, skoro więc jakaś służąca wszedłszy do sklepu, zajęła kupeczyka, mały łakomiec schwycił potajemnie jedną i drugą garść kasztanów i wsypał je do kieszeni.

Zaledwie wrócił do domu, pobiegł cichaczem do kuchni, a nie zastawszy tam nikogo, wsunął kasztany w gorący popiół gdzie po kilku minutach rozprażone, zaczęły trzeszczeć i syczeć. Wojtuś przysłuchiwał się temu z upo-

dobaniem, a chcąc je upiec prędkiej, nagarnął na popiół kilka rozżarzonych węgli i zaczął na nie dmuchać ze wszystkich sił.

Nagle jeden z kasztanów pękł z wielkim hałasem. Popiół i węgle prysnęły na twarz nierozsądnego malca z taką gwałtownością, że zdawało się, jakoby wypaliły mu oczy. Wojtuś, myśląc że oślepl, z bólu i trwogi zaczął płakać i krzyczeć, biegając jak waryat po całej kuchni.

Na ten krzyk zbiegli się mieszkańcy całego domu i kradzież łakomca wydała się z wielkim jego wstydem. Mały złodziej przez kilka tygodni chorował na oczy; naciерpiał się długo zanim przyszedł do zdrowia, ale też potem poprzyśiągł nie ulegać zgubnej skłonności i codzień powtarzał sobie:

Łakomstwo często wiedzie do kradzieży:

Wstyd, żal i boleść zawsze przy niem bieży.

XXII.

WINOGRONA.

Jednego z owych pogodnych i ciepłych dni jesien-nych, Wandzia wracała z przechadzki. Wszedł-

szy do domu, zastała na swoim stoliku od robotek koszyczek winnych gron, z których jedno fioletowe, drugie jasno-żółte jak złoto, prześlicznie odbijały od otaczających je liści.

— Kto tutaj, z kąd i dla kogo przyniósł te śliczne winogrona? — zapytała zdziwiona dziewczynka.

— Karolinka, twoja przyjaciółka, przysłała je z winnicy swojego ojca dla ciebie, są to pierwsze grona, które tam dojrzały.

— Oh! jakże ona dobra! — zawołała Wandzia—jakże jestem szczęśliwą, że nigdy nie zapomina o mnie! Muszę natychmiast napisać do niej liścik z podziękowaniem. Gdybym wiedziała jaką przyjemnością odwdzińczyć jej pamięć, uczyniłabym wszystko z całego serca!

— Cieszę się—odpowiedziała matka—z twoich dobrych chęci względem Karolinki: jedna tylko myśl zasmuca mnie w tej chwili. Od dnia, w którym zbierałaś pierwsze tegoroczne poziomki, aż do obecnej godziny, w której otrzymujesz te piękne winogrona, nasze drzewa obdarzyły cię mnóstwem wybornych owoców, a jednak nie dostrzegłam, abys kiedykolwiek z takim zapalem dziękowała Bogu, jak chcesz dziękować swojej przyjaciółce. Czyliż każdy owoc nie jest darem

Jego szczodrobliwości? Czyliż nie powinniśmy najpierw Jemu być wdzięczni? Czyliż nie powinniśmy przedewszystkiem starać się przypodobać Temu, który w każdej minucie tyle nam okazuje dobroci i miłości? Pamiętajże, moje dziecię, abyś od tego momentu dziękowała serdeczniej Najwyższemu Stwórcy za wszystko, co czyni dla ciebie i dla całego świata.

Ojcu Ojców nieśmy dzięki,
Bo dar każdy z Jego ręki;
Bo On jeden, dziatwie lubej
Daje wszystko bez rachuby.

XXIII.

SZCZEP WINNY.

Ogrodnik Michał zasadził przed swoim domkiem winny szczep, który rozrosłszy się umiał całą frontową ścianę pięknym liściem i wydawał wyborne jagody.

Sąsiad Michała pozazdrościwszy mu tego, zakradł się w nocy i uciął kilka najgrubszych gałęzi.

Nazajutrz skoro ogrodnik zastał swój szcep tak nielitościwie uszkodzonym, zasmucił się bardzo, zwłaszcza że w owym czasie niewiedziano jeszcze, ile obcinanie gałązek latorośli winnych sprzyja szybkiemu ich rozrastaniu.

— Płakałbym chętnie—rzekł rozżalony Michał, bo i mój biedny szcep zdaje się być smutnym, jak gdyby żałował swoich zielonych gałązek!

Ale jakież było jego zdziwienie, gdy szcep nietylko rozrósł się bujniej, ale i wydał w tym roku daleko większą ilość piękniejszych niż zwykle winogron.

Często krzywdy i cierpienia
Z nieprzyjaciół naszych strony,
Bóg w miłości nieskończonej,
W dobrodziejstwo nam zamienia.

XXIV.

WINNICA.

Stanisław umierając, rzekł do swoich trzech synów:

— Moje drogie dzieci! nie zostawiam wam innego dziedzictwa, oprócz naszego domku i bę-

dadęj przy nim winnicy, ale w jęj gruncie znajduje się bogaty skarb. Szukajcie dobrze, a ręczę, że go znajdziecie.

Po śmierci ojca, synowie rzucili się z jak największą gorliwością do przekopania całej winnicy, lecz nie znaleźli ani złota, ani srebra. Wszakże za nadejściem jesieni, grunt spulchniony owem poszukiwaniem skarbu, wydał dwa razy większą ilość winogron niż zwykle i dochód właścicieli został przez to podwojonym.

Wtedy dopiero synowie zrozumieli, co znały słowa ojca o owym zakopanym w winnicy skarbie i na drzwiach prowadzących do niej wypisali wielkimi literami następujące dwa wiersze:

Grunt choć najniewdzięczniejszy, zawsze zda się na co:
Jest w nim skarb, lecz go znaleźć można tylko pracą.

XXV.

DWA OGRÓDKI.

Szczepanek był wielkim swawolnikiem i lubił bardo próżnować. Lekceważył on wszelkie napomnienia i rady, najczęściej obracając je w żarty.

Pewnego dnia poszedł ze swoją siostrą Małgosią do ogrodu, gdzie oboje mieli po kwaterze ziemi wyznaczonej przez ojca, aby każde uprawiało swój własny ogródek. Kwaterna Małgosi utrzymywana starannie, ozdobiona była mnóstwem ślicznych kwiatów; tymczasem cząstka ziemi Szczepanka zarośnięta chwastem, zupełnie była zaniedbaną.

— Wstydz się, braciszku—mówiła do niego siostra—jak ty możesz opuszczać w ten sposób twój ogródek, jak możesz znieść widok takiego nieporządku. Ty nigdy nie doznasz przyjemności, jakiej ja doświadczam, kiedy przyjdę do mojego ogródka; doprawdy, że wszedłszy na wązkie, ale starannie żółtym piaskiem wysypane ścieżki, zdaje mi się że moje kwiateczki podnoszą ku mnie główki z wdzięcznością za troskliwość, jaką je otaczam, że spoglądając na nie z przywiązaniem i miłością, jestem podobną do naszej mamy, która stojąc na dworskim ganku, oddaje zgromadzonym kmiotkom serdeczne ich ukłony.

Napomnienia Małgosi były słuszne, ale Szczepanek naśmiawszy się z nich, jak zwykle; poskoczył ku rozłożystej gruszy i począł wdziierać się na nią. Potem zawołał:

— Widzisz Malgosiu, ja teraz podobniejszy jestem do mamy stojącej na ganku niż ty; tobie kłaniają się tylko kwiatki twojego ogródka, a ja patrzę z góry na drzewa, kwiaty i krzewy całego ogrodu!

Zaledwie to wyrzekł, gałąź na której stał pękła i nierozsądny Szczepanek, upadłszy na ziemię złamał sobie rękę.

Nie lekceważmy rozsądnych rad,
Spieszmy z pokorą w ich zbawczy ślad;
Bo gdy poprawy spózniamy czas,
Stwórca surowiej napomina nas.

 XXVI.

ODŁAMEK KIJA.

Podczas mroźnej zimowej nocy, poczciwy posłaniec wracał do miasteczka z znaczną sumą pieniędzy. Na zakręcie drogi został napadnięty przez złodzieja, który zabiwszy go, zabrał tłumoczek. W kilka godzin znaleziono na śniegu zakrwawione ciało nieszczęśliwego.

Tój samój nocy podsędek miejscowy kazał zapalić pochodnię i udał się z innymi urzę-

dnikami dla obejrzenia miejsca zbrodni. Tam spostrzegł odłamek drzewa, świeżo odlupany od sękatego kija; podniósł go, obejrzał uważnie i nie mówiąc schował do kieszeni.

Nazajutrz rano, gorliwy podsędek wchodząc do sądowej sali, spostrzegł tuż przy drzwiach gruby kij jednego z miejskich stróżów; wziął go w ręce, obejrzał i przekonał się, że mu właśnie brakowało odłamka, podobnego do kawałeczka drzewa znalezionego przy zamordowanym posłańcu. Powziąwszy więc podejrzenie na właściciela tego kija, podsędek kazał go niezwłocznie zaprowadzić do więzienia.

Zbrodniarz z początku zapierał się usilnie, ale odłamek drzewa, który przyłożony do uszkodzonego kija najdokładniej przystawał, był najlepszym dowodem kłamstwa. Niegodziwy nie mógł znaleźć wykrętu, pobladł i przyznał się do wszystkiego. Wyznał, że chciwość pieniędzy popchnęła go do zabicia człowieka, który mu nigdy nic złego nie uczynił, że dotąd nie otworzył tłumoczek, gdyż zaledwie zdążył ukryć go pod sągiem drzewa i tym sposobem nawet nie widział skarbu, dla którego stał się mordercą.

Skazany na śmierć, został ścięty wobec
mnóstwa narodu. Każdy dziwił się, że drobny
odłamek drzewa mógł posłużyć do wykrycia
sprawcy haniebnej zbrodni, popełnionej w naj-
większej tajemnicy; nie było ani jednej osoby,
któraby nie pomyślała z uwielbieniem o cudo-
wnych sposobach, jakimi często sprawiedliwość
Boska naprowadza ludzi na drogę prawdy.

Próżno złoczyńca chce ciemnością nocy
Oslaniać błędy niegodnego życia;
Pan Bóg je widzi, to dość! w Jego mocy
Wskrziesić umarłych dla zbrodni wykrycia.

 XXVII.

K A P U S T A.

Pracowita matka pielegnowała w swoim ogro-
dzie rozmaite jarzyny. Pewnego dnia rzekła do
córkki:

— Maryniu, przyjrzyj się tym żółtym punk-
cikom na liściach naszej młodej kapusty. Są
to jajeczka, z których później wyklują się gąsie-
nice o pięknych, tak często chwalonych przez
ciebie kolorach, ale bardzo szkodliwe—i które

wreszcie poprzemieniają się w białe motyle, jak ten co fruwa o kilka kroków od ciebie, nad temi dwoma krzaczkami. Otóż dziś po obiedzie, obejrzyj każdy listek kapusty i pognieć wszystkie jajeczka, jakie na nięj znajdziesz. Tym sposobem ocalimy od szkody prawie połowę naszego dobytku.

Marynia sądząc, że to zajęcie nie wymaga pośpiechu, odkładała od dnia do dnia, aż wreszcie zapomniała o niém zupełnie.

Tymczasem matka zachorowała i przez kilka tygodni nie mogła zajrzeć do ogrodu; ale jak tylko wróciła do zdrowia, wzięła Marynię za rękę i poszła z nią obejrzyć kapuściane zagony. O, moje dzieci! nie wyobrazicie sobie, jaki tam widok uderzył ich oczy! Gąsienice pożarły kapustę tak, że zostały tylko same łodygi i głąby! Zasmucona i zawstydzona Marynia zapłakała gorzko nad następstwem swojego niedbalstwa; wtedy matka tak odezwała się do nięj:

— Kochana Maryniu, zachowaj w pamięci na całe życie dwie nauki, które jednakowemi głoskami zniszczenia zdają się być wypisane na tych korzonkach i łodygach, pierwszą: że nie trzeba nigdy odkładać na jutro tego, co można

zrobić dzisiaj; a drugą ważniejszą jeszcze, że wszelkie zle trzeba niszczyć w samym zarodzie.

Złą skłonność, wszystko co na szkodę działa
Wytęp w zarodzie; bo jeżeli bezkarnie
Dzisiaj zaledwie dotknie twego ciała,
Jutro i ciało i duszę ogarnie.

 XXVIII.

OGROMNA GŁOWA KAPUSTY.

Dwaj czeladnicy, Józef i Bartłomiej, wyszedłszy na majówkę za miasto, przechodzili około warzywnych ogrodów.

— Patrzaj-no!—zawołał Józef—jaka piękna kapusta, nigdy nie widziałem takich ogromnych głów!

— Bah!—odpowiedział Bartłomiej, który lubił się przechwalać—niema w niej nic nadzwyczajnego. W czasie mojej wędrówki, widziałem głowę kapusty wielką jak probostwo, które tam stoi po lewej stronie.

Na to Józef będący z rzemiosła kotlarzem, odrzekł natychmiast:

— Zdaje mi się że przesadzasz, a jednak przypominam sobie, że i ja kiedyś pracowałem około kotła, wielkiego jak kościół, co się wznosi obok tego probostwa.

— Zmiluj się!—krzyknął Bartłomiej—i do czegoż mógł służyć taki ogromny kocioł?

— Zapewne do ugotowania w nim twojej kapusty—odpowiedział spokojnie Józef.

Wtedy Bartłomiej ucichł zawstydzony, a po chwili rzekł:

— Aha! rozumiem teraz co znaczy twój wielki kocioł! Ty nie masz zwyczaju kłamać i chciałeś tylko wyszydzić moje kłamstwo. Dobrze zrobiłeś, to mi posłuży za naukę, albowiem:

Na kłamcę trzeba kłamcy większego,
Co niby w skromnej postaci,
Chcącemu sobie żartować z niego,
Za kłamstwo wstydem zapłaci.

 XXIX.

R Z E P A.

Wincenty, biedny wyrobnik, pewnego roku wyhodował w swoim ogródku głowę rzepę tak



w Lit. M. Rajana.

POLE.

BIBLIOTEKA
BN
NARODOWA

wielką, że wszyscy sąsiedzi nie mogli się jęj wydziwić.

— Zaniose ją dziedzicowi, pomyślał sobie; nasz pan lubi włóścian uprawiających starannie swoje ogrody.

Jak pomyślał, tak uczynił. Dziedzic przyjął podarek, pochwalił gorliwego robotnika, podziękował za przychylność i ofiarował mu pięć złotych dukatów.

Grzegorz, bogaty a skąpy i chciwy kolonista z téj saméj wsi, dowiedziawszy się szczęściu Wincentego, stracił humor z zazdrości; nie mógł spokojnie pracować, jeść, ani spać, przemyślając czémby i on mógł przypodobać się dziedzicowi.

Nareszcie wpadł na myśl i zawczasu cieszył się spodziewaną nagrodą.

— Wiem już! — zawołał — mam prześliczne ciele, dziś jeszcze zaprowadzę je do dworu. Kiedy dziedzic za nędzną rzepę dał pięć dukatów, zapewne za takie piękne ciele da najmniej trzy razy tyle!

Natychmiast więc zarzucił powróż na szyję zwierzęcia i zaprowadziwszy je do dworu, ofiarował panu. Dziedzic domyślając się podstępu chciwego skąpeca, nie chciał przyjąć poda-

runku; ale kolonista upraszał go koniecznie, aby nie pogardzał tym skromnym dowodem przychylności i wdzięczności.

Wtedy dziedzic, który był człowiekiem sprawiedliwym i dowcipnym, rzekł:

— Dobry Grzegorzu, ponieważ z taką usilnością nalegasz, przyjmuję twój podarunek; ale pozwól mi być również jak ty wspaniałym. Za twoją przychylność ofiaruję ci rzecz, która mnie kosztowała dwa, a może i trzy razy tyle, ile jest warte twoje ciele.

To powiedziawszy, podał zdziwionemu i zakłopotanemu Grzegorzowi, przyniesioną przez Wincentego rzepe.

Talent, zasługa, gdy je skromność opromienia,
Zawsze znajdują nagrodę; ale umysł hardy,
Zawistny, zazdroszczący drugim powodzenia,
Nigdy nic nie pozyska, prócz wstydu i wzgardy.

XXX.

ŚLICZNY OWOC PURPUROWY.

Mały Ludwiś będąc w ogrodzie przyglądał się z podziwieniem zagranicznym roślinom, kwitną-

cym w ozdobnych wazonach ustawionych na drewnianém wzniesieniu, blisko rodzicielskiego domu. Szczególniej zwrócił jego uwagę nie duży krzew z pięknymi ciemno-zielonemi liśćmi, wśród których odznaczał się podłużny, czerwony owoc, świetniejszy od szkarłatu i purpury.

— Co za prześliczny owoc! — zawołał Ludwiś — piękniejszego niéma w całym ogrodzie! Jestem pewny, że i w smaku żaden mu niedorówna.

Obejrzał się więc troskliwie czy nikt na niego nie patrzy, zerwał owoc i poniósł do ust; ale zaledwie ugryzł, ogień ogarnął mu język i podniebienie: z płaczem i krzykiem rzucił na ziemię owoc, gdyż nieznośne palenie w ustach, coraz gwałtowniej się wzmagało.

Na jego krzyk nadbiegła matka, a poznavszy przyczynę, rzekła:

— Nieposłuszne dziecko! ileżto razy zakazywałam ci jeść owoce, których nie znasz! Otóż dziś zostałeś ukarany. Ten owoc piękny z pozoru ale zjadliwy wewnątrz, mógłby cię otruć, bo to jest pieprz turecki. Przyjrzyj się, masz w nim prawdziwie wyobrażenie grzechu, co pociągający nas ku sobie złudną powierzchownością, skazuje potem na boleść a często i na śmierć.

Często złe pięknym pozorem wabi,
 Strzeżcie się! niechaj was nie ogarnie!
 Bo tym co zdradzie ulegną słabi,
 Daje w zamianę łzy i męczarnie.

XXXI.

DUKATOWE DRZEWO.

Edwardek lubił bawić się cudzym kosztem, kłamiąc albo żartując z mniej świadomych od siebie. Jednego razu pisał w swoim pokoiku list, do którego miał dołączyć sześć nowiuteńkich dukatów, leżących obok kałamarza na biurku.

Podczas tego zajęcia, Emilcia młodsza siostra Edwarda, wbiegłszy do niego i spostrzegłszy na stoliku błyszczące złoto, zapytała:

— Mój drogi braciszku, powiedz mi, zkąd się biorą dukaty?

— Dukaty, kochana Emileczko, rosną na drzewie, które się nazywa drzewem dukatowém. Sieją się w ziemi jak groch, potem z każdego wyrasta drzewko okryte nowiuteńkiemi złotemi dukatami.

To powiedziawszy odwrócił się od siostry i z wielkiem zajęciem kończył swoją robotę.

Tymczasem Emilcia korzystając z nieuwagi brata, wzięła potajemnie dukaty, pobiegła do ogrodu i powsadzała je w ziemię.

Właśnie Edward ukończył list, kiedy Emilcia wróciła do jego pokoiku.

— Kochany braciszku! — zawołała — wkrótce będziesz miał bardzo dużo dukatów, bo wszystkie co leżały na biurku, zasiałam w naszym ogrodzie.

Usłyszawszy to, Edward zmieszany i rozgniewany zerwał się od stolika, a wzięwszy siostrę za rączkę, czémprędzej pobiegł z nią do ogrodu.

— Pokaż mi zaraz, w którym je miejscu zasiałaś? — zawołał z obawą.

Ale czy to z powodu, że Emilcia nie mogła trafić tam gdzie powsadzała w ziemię dukaty, czy też dlatego że może je któryś z pracujących w ogrodzie robotników dostrzegł i zabrał, dzieci szukały nadaremnie.

Ojciec dowiedziawszy się o wszystkiém, rzekł do Edwarda:

— Dobrze ci tak! strata twoich sześciu dukatów została słusznie ukarany za kłamstwo. Prawda, że trzeba nie mieć rozsądku, aby rzucać w ziemię złoto i wierzyć że z niego wyrosną

drzewa pokryte dukatami; ale Emilcia jest daleko młodszą od ciebie, który lubisz rozsiewać kłamstwa i tym sposobem żartować z cudzej niewiadomości.

O, prawdo! światło twojej pochodni
Zawsze nas prostą prowadzi drogą!
Z kłamstw, które sięją tylko niegodni,
Dobre owoce wzrosnąć nie mogą.

XXXII.

CUDOWNE ZIELE.

Dwie służące z folwarku, Brygida i Kasia, dążyły razem do miasta, każda z ciężkim koszykiem owoców.

Brygida ciągle narzekała, Kasia zaś żartowała i śmiała się bezprzestanku.

— Nie wiem zkąd ci ta wesołość, jak możesz ciągle się śmiać i żartować? — zapytała Brygida towarzyszkę. Wszakże ani twój koszyk nie jest lżejszym od mojego, ani ty nie jesteś mocniejszą odemnie.

— Bo widzisz — odpowiedziała Kasia — ja dołożyłam do mojego ciężaru trochę pewnego ziele, które go czyni tak lekkim, że prawie nie czuję utrudzenia.

— Doprawdy? — zawołała Brygida — to musi być jakieś cudowne ziele! Dalabym dzie sięć groszy za kilka listeczków, byle choć trochę ulżyło mojemu ciężaru. Jakże się ono nazywa?

— To cudowne ziele — odrzekła Kasia — posiadające przymiot ulżenia każdego ciężaru, jako też ułatwienia każdej najmózolniejszej pracy, nazywa się *chęć i cierpliwość*.

Największy ciężar lżejszym się stanie,
Zawiła praca wnet się uprości,
Jeżeli do nich tve przekonanie
Dołoży *chęci i cierpliwości*.

XXXIII.

ZIARNECZKO MAKU.

Bogaty kupiec wróciwszy z dalekiej podróży, przywiózł z Indyi mnóstwo kosztownych przedmiotów.

Po przywitaniu krewnych, którzy z wielką radością pobiegli do niego, każdemu z nich pozwolił wybrać, podług upodobania, jakąś rzecz z przywiezionych towarów.

Mężczyźni pobrali sobie po sztabce złota, gałązce koralu albo kilka morskich muszli, podobnych do ozdóbnie malowanej porcelany.

Kobiety zaś wołały wybierać w pięknych perłach, różno-kolorowych kamieniach lub lśniących dyamentach.

Jeden tylko mężczyzna, najpoważniejszy w całej rodzinie, wziął maleńką płaską paczkę papierową, na której było napisane: „nasienie maku;“ ale rozwinąwszy ją, znalazł tylko jedno ziarneczko. Widać że w czasie podróży, bądź z powodu małości, bądź przez trzęsienie, wszystkie inne wypadały.

Obecni śmieli się z niego, na co odpowiedział im bez gniewu:

— Wszystkie rzeczy, któreście sobie powybierali, są bezwątpienia cudownymi tworam Bogu, wszakże to ziarnko jest może jednym z najcudowniejszych dowodów Jego mądrości i łaski. Mak nie jest jeszcze rozpowszechniony w naszym kraju, ale com słyszał o przymiotach téj rośliny, jest dostatecznym, ażebym przeniósł jedno ziarneczko jój nasienia, nad wszystkie kosztowności waszego wyboru.

To powiedziawszy, zasadził w swoim ogrodzie maleńkie nasionko, otoczył je staraniem, a w kilka miesięcy zebrał tyle ziarenek, że w następnym roku mógł nimi obsiać spory kawałek gruntu.

Skoro mieszkańcy blizkiego miasteczka ujrzeli pole okryte ślicznymi purpurowymi kwiatami, nie mogli dość im się wydziwić.

— Jakież to potężny dowód mądrości i łaski Bożej! — mówili zdumieni — jedno ziarneczko wydało takie mnóstwo ślicznych kwiatów!

Ale gdy spróbowali czystego i słodkiego oleju, jaki się wytłacza z makowych ziarenek, dopiero przekonali się że nasienie sprowadzone z Indyi, będzie prawdziwem dobrodziejstwem dla całego kraju.

W jedném ziarnku przyszłość żniwa,
W jedném cały plon spoczywa;
Ono jak dłoń Niebios Pana,
W dobrodziejstwach nieprzebrana,
Choć świat cały darzy niemi,
Ciągłe nowe skarby pleni.

XXXIV.

D Y N I E.

Jędrus, syn zamożnego dzierżawcy, poukładał na swojej szafce piękne ciemno-żółte, jak gdyby złoczone dynie, którym bardzo się lubił przypatrywać. Pewnego dnia wróciwszy z ogrodu, nie

zastał ani jednej. Nie mogąc pojąć kto mu je zabrał, rozszalony i rozgniewany, pobiegł na skargę do ojca, który właśnie siadał na bryczkę chcąc wyjechać z żoną do miasta.

— Nie troszcz się tak bardzo o taką drobnostkę—odpowiedział ojciec—idź do twojej roboty, a po południu udaj się do śpichlerza, przesznuj starannie zboże, poczem zaręczam ci, że odzyskasz twoje dynie.

Wieczorem powróciwszy z miasta, ojciec zapytał syna, czy przesznuował zboże?

— Przesznuowałem ziarno przy ziarnie—odpowiedział Jędrus.

— A znalazłeś dynie?

— Nie znalazłem ani jednej.

— Więc jesteś kłamcą—zawołał rozgniewany dzierzawca—złapałem cię na uczynku!.. Chciałem doświadczyć twojego posłuszeństwa i pilności, dlatego pochowałem dynie w zbożu; gdybyś je przetrząsnął, gdybyś mi był posłusznym, byłbyś niezawodnie odzyskał zgubę; ale teraz wydało się żeś skłamał i to nie pierwszy raz!

Jędrus zarumieniony ze wstydu, błagał ojca o przebaczenie.

— Przebaczę—odpowiedział tenże—ale pod warunkiem, że mi przyrzeczesz poprawić się i że na całe życie pamiętasz następującą przestrożę:

Przebiegłości czelnej władza,
 Na nie kłamcy się nie przyda;
 On najczęściej sam się zdradza,
 Bo go własne kłamstwo wyda.

XXXV.

ŻOŁĄDŹ I DYNIA.

Pewien wieśniak leżąc pod rozłożystym dębem, przypatrywał się lodydze dyni, która się pięła po badylach płotu sąsiedzkiego ogrodu.

Nareszcie potrząsnawszy głową, rzekł:

Dziwna rzecz! taka wątła lodyga dźwiga tak wielkie i piękne owoce, kiedy tymczasem wysoki i wspaniały dąb, wcale nie może się chwalić swojemi drobnemi żołądźmi. To bardzo śmieszne i niestosowne! Gdybym ja stworzył świat, byłbym nadał dębom moc wydawania pięknych kilko-funtowych dyń; przynajmniej byłoby na co popatrzeć!

Zaledwie wyrzekł te słowa, żołądź strząśnięta wiatrem z wierzchołka drzewa, upadła mu na nos z taką siłą, że go aż rozkrwawiła.

— Aj! — zawołał przestraszony wieśniak — to mi szczonek nie lada! popamiętam go!... to wy-

rażna kara, żem się ośmielił ganić dzieło Boskiej
 mądrości i łaski! Gdyby ta żołądz była dynią,
 mój nos zostałby splaszczony jak listek!

Strzeżmy się ganić wielkie Stwórcy dzieła,
 Bo Jego tylko Opatrzność łaskawa,
 Rozumie światem kierujące prawa,
 Bo mądrość ludzka mało z nich pojęła.

XXXVI.

WSPANIAŁY DĄB.

W południowej godzinie, pasterz Antoni ze swoim synkiem Jasiem siedzieli w cieniu ogromnego dębu. Po kilku chwilach rozmowy, spostrzegli trzech ludzi obcych, zbliżających się ku wiosce szerokim gościńcem. Byli to trzej urlopowani żołnierze, wracający do rodzinnej zagrody; każdy z nich miał na sobie mundur pułku, w którym służył i każdemu ogromne wąsy nadawały prawdziwą postać marsową.

Spostrzegłszy wspaniały dąb, zatrzymali się i spoglądali nań z podziwieniem.

— Co za przepyszne drzewo! — rzekł jeden z nich — gdybym je mógł wypalić na węgiel, zarobiłbym nie mało!

— Zapewne, panie węglarzu — odpowiedział pasterz.

— Gdybym je mógł obedrzeć z kory—odezwał się drugi — miałbym na cały rok zapas dębika.

— Niezawodnie, mości garbarzu — odrzekł znowu pasterz—ale szkodaby było obdzierać z kory taki piękny dąb.

— Hej!—zawołał z kolei trzeci—jakie mnóstwo żołądzi na tém drzewie! Gdybym niemi utoczył moje wieprze, tożbym dopiero smaczne kiełbasy i szynki powiózł na jarmark!

— Żołądzie z tego dębu możesz nabyć u dziedzica, panie wędliniarzu — odpowiedział Antoni.

Skoro się trzej podróżni oddalili, Jaś zapytał pasterza:

— Mój ojcze, jak dawno znacie tych trzech ludzi?

— Dziś pierwszy ich raz widziałem—odpowiedział Antoni.

I zkażdże wiecie—mówił dalej Janek—że jeden z nich jest węglarzem, drugi garbarzem, a trzeci wędliniarzem? Nie mogliście odgadnąć ich rzemiosła ani z ubrania, ani z miny, bo przecież wszyscy byli w wojskowych mundurach.

— Masz słuszość — odpowiedział ojciec. To téż ja nie po ubiorze, ale po mowie poznałem, czém się który zatrudnia. Każdy najlepiej lubi rozprawiać o rzeczach dotyczących jego zawodu, a szczególnie o tém, co (jak to powiadają) leży mu na sercu. „Znać po mowie, co się dzieje w głowie.“ Więc przy téj sposobności dowiedz się, mój synu, że ludzie cnotliwi są zwykle oszczędniejsi w słowach, kiedy tymczasem źli, najczęściej zdradzają swój charakter, nie mogąc powstrzymać złośliwych rozmów. Tym sposobem można łatwo poznać jednych i drugich, co nam pozwala niedobrych unikać, a po poczciwych zbliżać się i szukać ich przyjaźni.

To, co napęlnia serce, co przebywa w głowie,
Co czynimy; myśl poda, a język wypowie;
Chciejmy więc być dobrymi usilnością całą,
By serce językowi źle nie dyktowało.

XXXVII.

D A B.

Dawno już bardzo, dwaj młodzieńcy, Jakób i Edmund stanęli przed sądem.

Jakób rzekł do sędziego:

— Kiedy przed trzema laty wybierałem się w podróż, uważając Edmunda za najlepszego z moich przyjaciół, powierzyłem mu do przechowania kosztowny pierścień z brylantami. Dziś powróciwszy do kraju, napróżno dopominam się o zwrot tego klejnotu, jestem więc przymuszony domagać się w sądzie sprawiedliwości.

Edmund położył rękę na sercu i rzekł:

— Zareczam honorem, że nawet nigdy nie widziałem u Jakóba podobnego pierścienia. Mój przyjaciel musi być pozbawiony zdrowych zmysłów, wpierając że mi go dał do przechowania.

— Jakóbie — odezwał się sędzia — czy nie masz żadnego świadka, któryby poręczył słuszność twojego żądania?

— Niestety! — odrzekł Jakób — w chwili, kiedy mu powierzyłem pierścień, jedynym świadkiem, prócz Boga, był rosnący na polu dąb, pod cieniem którego pożegnaliśmy się przed moją podróżą.

— A ja gotów jestem stwierdzić przysięgą — rzekł znowu Edmund — że jak pierścienia, tak i dębu wcale nie widziałem.

— Jakóbie — mówił dalej sędzia — idź, utnij gałąź z tego dębu i przynieś ją do mnie. Ty zaś Edmundzie pozostań tutaj do powrotu Jakóba.

Poszkodowany oddalił się, a po chwili sędzia rzekł:

— Jakób coś bawi długo; musiał się gdzieś zatrzymać. Otwórz okno Edmundzie i wyrzyj czy nie powraca.

— Ależ, panie sędzio — odpowiedział Edmund — on nie może wrócić tak prędko; wszakże ten dąb znajduje się ztąd najmniej o trzy kwadransy drogi.

Wtedy sędzia zawołał.

— Zuchwały i bezbożny zoczyńco! chciałeś więc stwierdzać kłamstwo fałszywą przysięgą przed Bogiem, Najwyższym Sędzią, który przenika najskrytsze myśli nasze! Wiesz gdzie rośnie dąb, a wypierałeś się tego; zatem i pierścień wzięłeś do przechowania, a kłamiesz żeś go nie widział nawet!

Edmund zadrzał i zbladł. Sąd skazał go na zwrócenie pierścienia i rok surowego aresztu.

— W więzieniu — dodał sędzia — będziesz miał czas zastanowić się nad tą wielką prawdą:
Zatopcie zbrodnię w morskiej głębinie,
A ona kiedyś na wierzch wypłynie;
Zakopcie w ziemię; wyjdzie z jój łona
I o swym sprawcy wszystkich przekona.

XXXVIII.

WIERZBA I DĄB.

Pewnego poranku po straszliwej burzy, która wybuchnęła w nocy i trwała przez kilka godzin, ojciec Łukasz wyszedł na pole z synem Wawrzencem, aby obejrzeć szkody, jakie uragan poczynił w zbożu.

— Patrzcie-no ojcze!—zawołał Wawrzus—ten wielki dąb, który zdawał się być tak mocnym, leży rozdarty na ziemi, a tamta wiotka i nieokazała wierzba stoi sobie spokojnie nad brzegiem strumyka. Zdaje mi się, że burza mogłaby daleko łatwiej wywrócić wierzbę, aniżeli dąb, który przez tyle lat opierał się gwałtowności wiatru.

— Moje dziecię—odpowiedział ojciec—pomimo wzrostu i siły, dąb musiał zostać zgruchotanym, bo nie umiał się zgiąć pod naciskiem uraganu. Wierzba zaś, bardziej giętka niż silna, w miarę nacisku wichrów, potrafiła uchylać swoje zielone gałązki i tym sposobem uchroniła się szkody.

Pycha i duma, w zgubnej podniecie,
Swym zwolennikom zawsze źle radzą;
Niekiedy trzeba umieć w tym świecie
Zgiąć się jak wierzba, pod gromu władzą.

XXXIX.

G R Z Y B Y.

Matka wysłała Kasię do lasu, aby nazbierała grzybów, gdyż ojciec bardzo je lubił.

Zaledwie Kasia wracając zbliżyła się do domu, zawołała uradowana:

— Patrzaj-no mamunieczko! jakich dziś ślicznych nazbierałam grzybów!... Spójrz tylko—dodała otwierając koszyk—wszystkie wielkie, jasno-czerwone i jak gdyby powysadzone białymi perlami. Były tam i małe, szare, zupełnie takie, jakich mama onegdaj nazbierała, ale się nawet nie schylała po nie, bo przy tych bardzoby nędznie wyglądały!

— O! nierozsądne dziecko!—zawołała przestraszona matka—te grzyby napozór tak piękne, pomimo szkarłatnego koloru i niby pereł swoich, są jedną z najniebezpieczniejszych trujących roślin. Kto ich skosztuje, umiera; kiedy tymczasem tamte grzyby szare i nie wielkie, któremi dla nieponętnej powierzchowności wzgardziłaś, są właśnie najlepsze i najzdrowsze. Moje dziecko, z wielu rzeczami podobnie dzieje się w świecie. Dojrzysz w nim cnoty skromne, kryjące się

w głębi serc, nie czyniące hałasu; dojrzysz i występki ludzkie świetnym pozorem, które nierozsądni uwielbiają. Złudna powierzchowność złego, łatwo nas może zwieść i pociągnąć do grzechu; to też pamiętaj córko, że:

Pięknym pozorem występki mamy,
Przyrzeka szczęściem darzyć sowskie;
Ludzi, by władzę objąć nad nami
I łatwiej zatruć nam życie.

XL.

P O L E.

Błażej był leniwy i biedny. Około jego chaty rosły tylko pokrzywy, chwast i kilka karłowatych krzaków leszczyny.

Pewnego dnia w czasie mocnego upału, kiedy pracowity lud zajęty był żniwem, Błażej położył się niedbale pod cieniem krzewu. Po chwili, jeden z jego sąsiadów wracał z pola, prowadząc parokonny wóz, naładowany potężnymi snopami pszenicy. Błażej spojrział okiem zazdrości na piękne zboże i niechętnie powitał sąsiada; ten zaś wstrzymawszy konie rzekł:

— Gdybyś zamiast zaniedbywać pole, które do ciebie należy, codzień skopał porządnie choć taki kawałek, jaki zajmujesz twojem leniwem ciałem, mógłbyś corok zebrać przynajmniej tyle zboża, ile się na mój wóz pomieściło.

Błażej usłuchał téj rozsądnej rady, wziął się natychmiast do wrywania chwastów, cierni i zieliska; potem starannie uprawił kawałek swojego gruntu: tym sposobem otrzymał pole, które bez grosza wydatku stało się porządnem utrzymaniem całej jego rodziny.

Patrzaj! ludzi co czas tracą,
I natura wstydzi pracą;
Wiosna niesie listki, kwiaty,
Lato: żniwa plon bogaty;
Jesień złoci owoc drzew,
Zima śniegiem tuli siew:
Hańba temu oczywista,
Kto z tych wzorów nie korzysta!

XLI.

POCHYLE KŁOSY.

Tomasz wyszedł z swoim synem Michałkiem w pole, aby zobaczyć jak prędko będzie można rozpocząć żniwo.

— Mój ojciec—zagadnął Michaś—dlaczego niektóre lodygi z kłosami są pochylone ku ziemi, a niektóre trzymają się zupełnie prosto? Zapewne proste są najlepsze, a pochyle nie są warte.

Na to rolnik zerwał dwa kłosa, a pokazawszy je synowi rzekł:

— Przypatrz się moje dziecko: ten kłos skromnie pochylony ku ziemi, pełen jest najpiękniejszego ziarna; ten zaś który z taką dumą trzymał się prosto, jest zupełnie pusty. Tak samo i między ludźmi: rozumni są zwykle skromni, głupcy zaś jak najwyżej zadzierają swoje puste głowy.

Spójrzcie baczenie w ludzkie tłumy,
A dojrzyć, że najprościej
Głupstwo zwykle obok dumy,
Rozum idzie przy skromności.

XLII.

ŁOZINA I SŁOMA.

Uboga wdowa wracała z dwojgiem dzieci z ponad strumyka, gdzie nazbierali sobie chróstu i gałązek łożyny na opał. Matka niosła spory pęk na głowie,

a każdy z dwóch chłopczyków niósł mniejszy, związany słomianem powróskiem na plecach.

W drodze spotkawszy bogatego kupca z sąsiedniego miasta, prosili go o jałmużnę, ale bogacz odpowiedział:

— Słuchaj kobieto, niepotrzebnie żebrzesz. Powierz mi twoich synów, a ja nauczę ich zamieniać gałązki łożyny i słomę na czyste złoto.

Wdowa z początku myślała że kupiec z nięj żartuje, ale po chwili przekonała się, że mówi szczerze i powierzyła mu swoje dzieci.

Kupiec kazał wyuczyć jednego z chłopców koszykarstwa, drugiego wyplatania ze słomy kapeluszy i innych rzeczy.

W trzy lata, dwaj synowie powróciwszy do ubogiej chatki swojej rodzicielki, zaczęli wyplatać z łożyny rozmaitego kształtu koszyki a ze słomy jak najpiękniejsze kapelusze. Wypracowawszy znaczny zapas tych pożytecznych przedmiotów, posłali je do miasta do owego bogatego kupca, który w kilka dni przybył do nich, a zapłaciwszy za robotę nowiuteńkiemi złotemi pieniądźmi, rzekł do matki:

— Nieprawdaż że miałem słuszność, że dotrzymałem danego słowa!

Pracujcie dzieci, bo przemysł i praca,
Rzecz najdrobniejszą w pożytek obraca;
Ręce robocze, umysły świadome,
Zmieniają w złoto łożinę i słomę.

XLIII.

G R O C H.

Kuglarz prosił, aby mu pozwolono wykonać przed księciem nadzwyczajną, dotąd jeszcze niewidzianą sztukę. Książę zezwolił i sztukmistrz wszedł do sali z wazą pełną namoczonego grochu, poprosił jedną z obecnych osób, aby trzymała długą igłę obróconą ostrym końcem do niego, a stanąwszy w pewnej odległości, zaczął rzucać ziarnko po ziarnku grochu tak zręcznie, że każde trafiło i zaczęło się na ostrzu igły.

Wtedy książę powiedział:

— Mój przyjacielu, musiałeś zadawać sobie wiele pracy i pewno nie mało poświęciłeś czasu, aby nabyć tak zadziwiającej zręczności; muszę cię stosownie do zasługi wynagrodzić.

To powiedziawszy, wydał cicho rozkaz jednemu ze swoich paziów, który wyszedł, i po

kilku chwilach powrócił, niosąc worek z pozoru dosyć ciężki. Kuglarz zadrzał z radości, mniemając że worek pełny był złota.

Ale gdy na skinienie księcia otworzono ów worek, wszyscy spostrzegli z podziwieniem, że napełniony był... grochem.

— Ponieważ twój talent—rzekł książę—pod żadnym względem nie przynosi ludziom pożytku, nie masz prawa liczyć na ich ofiary; dlatego też przekonany, że tym sposobem niezadługo zabraknie ci grochu, potrzebnego do ćwiczenia twojej zręczności, ofiaruję ci ten pełny worek, abyś miał dość znaczny zapas.

Niechaj nikt czasu na głupstwa nie traci,
Bo to kapitał pożyczony z Nieba,
Na własne dobro, na korzyść współbraci,
Każdą chwileczkę obracać potrzeba;
Białal kto kończąc drogę życia całą,
Chwil pożytecznych odda Stwórcy mało!

XLIV.

NASIENIE LNU.

Zamożna dzierżawczyni zadawała sobie wiele pracy, aby hodować len coraz w lepszym gatunku.

Jednego dnia przybył do niej kupiec i rzekł:
— Daj mi pani nasienie lnu tutejszego, a ja przywiozę ci w zamianę zagranicznego, w daleko lepszym gatunku, pod warunkiem, że do każdego korca dodasz mi dwadzieścia złotych.

Dzierżawczyni zgodziła się na to; kupiec zabrał len z jej śpichlerza, a w kilka tygodni przywiózł nasienia, niby zagranicznego.

Ale przy wysypywaniu pierwszego zaraz worka, parobcy ujrzeli w nim coś błyszczącego: był to złoty pierścionek. Dzierżawczyni spostrzegłszy go, zawołała zdziwiona:

— Przypatrzcie się ludzie! to własny mój pierścionek, który przy przesypywaniu nasienia, zsunął mi się z palca!

Potem zwróciwszy się do zakłopotanego kupca, dodała:

— Mości panie, twój niegodziwy podstęp wydał się najdokładniej. Jesteś oszustem! chciałeś mi sprzedać mój własny len, za nasienie lnu zagranicznego; to też zamiast dwudziestu złotych dodatku do każdego korca, mam wielką chęć kazać moim parobkom, ażeby ci dodali na plecy porządną pamiątkę.

Kupiec prosił o przebaczenie, jednak wypadek ten rozniósł się po całej okolicy. Zawiado-

miony sąd skazał oszusta na zapłacenie kary, poczem żaden z handlujących nie chciał wejść z nim w stosunki. Niegodziwy kupiec, straciwszy wiarę i zaufanie, musiał zaniechać handlu i wziąć się do innego rzemiosła, aby wyżywić swoje rodzinę i siebie.

Oszustwo choć się uda najgładziej,
Prędzej czy później oszusta zdradzi;
Niech więc podstępny każdy unika,
I bierze prawosć za przewodnika.

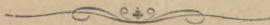
XLV.

GRANICZNY SŁUPEK.

Stefan był właścicielem ślicznego domku, otoczonego sporym owocowym ogrodem, z którym graniczyła łąka należąca do sąsiada. Niepoprzezstający na swoich dostatkach i niezbyt sumienny Stefan, zamyślił powiększyć swój ogród cudzą krzywłą. Wstał więc około północy, a korzystając z pomroki, powysuwał w głąb łąki sąsiada kamienne słupki, które służyły na odgraniczenie ich własności.

W jakiś czas zapomniawszy o wyrządzonej drugiemu szkodzie, przystawił drabinę do wybijanego drzewa, ażeby narwać wisien; ale skoro wszedł prawie na ostatni szczebel, drabinka ustawiona zbyt prostopadle, usunęła się i Stefan spadłszy z niej na wznak, zgruchotał sobie kręgi właśnie o jeden z posuniętych granicznych słupków. Gdyby nie był posunął owego kamienia, spadając byłby go pominął i może na miękkiej trawie nie znalazłby śmierci; ale dokonawszy niegodziwego czynu, ani pomyślał, że prędzej czy później dotknie go ręka sprawiedliwej kary.

Kto pod kim dołki kopie sam pierwszy w nie wpada.
Bóg mu pomiesza zmysły, ukarze złe chęci;
Kto odsuwa granicę ze szkodą sąsiada,
Ani wie, kiedy na nią padnie i kark skręci.



CZEŚĆ DRUGA.

I.

P T A K I.

Niedaleko Warszawy było piękne sioło, otoczone ze wszystkich stron mnóstwem owocowych drzew. Na wiosnę nic nie było przyjemniejszego nad widok tych rozłożystych jabłoni, gruszy, śliw, wieszaków pokrytych kwiatem, napelniających balsamiczną wonią powietrze; a w jesieni nic wspanialszego nad ich bujne gałęzie, uginające się pod ciężarem dojrzałych, soczystych owoców.

Tysiące ptasząt gnieździło się na gałęziach i pniach tych urodzajnych drzew, albo w sąsiednich żywopłotach i krzakach. Te drobne, miłe stworzenia napelniały powietrze radośnymi śpiewami, niby dziękczynnymi hymnami Bogu, że im dał życie, że i o nich pamięta.



w Lib. M. Kajansa.

PTAKI.

BIBLIOTEKA
BN
NARODOWA

Mieszkańcy owego rozkosznego siola, często napominali swoje dzieci, mówiąc:

— Strzeżcie się czynić najmniejszą krzywdę tym małym istotom, nie wybierajcie ich gniazd, nie sprzeciwiajcie się im, abyście nie obraziły Tego, który odziewa góry i doliny kwiecistą szatą, który sypie ptaszętom ziarna, żeby nie wyginęły z głodu; albowiem przez miłość dla nas, Bóg ubarwił kwiaty pięknymi kolorami i obdarzył je wonnością; przez miłość dla nas dał dźwięczny głos słowikom, których śpiew niewymowną błogość rozlewa w sercu człowieka.

Jednakże kilku nieposłusznym, bezlitośnym chłopcom, uwzięło się aby psuć i zabierać gniazda. Ptaszki rozgniewały się i z wolna opuściły okolicę. W ogrodach i na łąkach zamilkł ich rozkoszny śpiew i cicho i smutno zrobiło się w całej wiosce.

Ale nie dosyć na tem. Złośliwość tych niedobrych chłopców była przyczyną jeszcze boleśniejszych następstw. Szkodliwe dla roślinności gąsiennice i liszki, z których dawniej ptaszęta obierały drzewa, rozmnożyły się w nadzwyczajnej ilości i do szczytu wyniszczyły liście i kwiaty. Drzewa zostały niezadługo obnażone jak w zimie, a niegodziwe dzieci, które dawniej miały podsta-

tkiem smacznych owoców, skoro nadeszła jesień,
nie mogły nawet jednego zakosztować jabłuszka.

Drobnym ptaszętom, śpiewakom wiosny,
Nie psujcie gniazdek rozswawoleni;
Bo wam zamilknie ich śpiew radosny,
Bo wam owoców braknie w jesieni!

II.

KANAREK.

Antosia prosiła matki, aby jęj kupiła ładnego
kanareczka.

— Dobrze — odpowiedziała matka — kupię
ci kanarka, jeżeli będziesz grzeczną i posłuszną,
a przede wszystkim, jeżeli się poprawisz z tęg
nieznośnej ciekawości niepożytecznych a często
niebezpiecznych rzeczy. Pamiętaj, że ciekawość
źle użyta, prowadzi do złego.

Antosia przyrzekła być posłuszną, pracowitą
i poprawić się z błędu, o który matka naj-
więcej ją napominała.

Jednego dnia, gdy dziewczynka wróciła
z pensyi, matka zawołała ją do drugiego poko-
ju mówiąc:

— Słuchaj Anusiu, ja wychodzę na miasto; zostawiam na tym stole nowiuieńkie pudelko, któremu możesz przypatrywać się zdaleka, ale niech cię Bóg broni, abyś je miała otworzyć: nie dotykaj go nawet. Jeżeli po powrocie przekonam się, że byłaś mi posłuszną, dam ci coś, z czego będziesz bardzo kontenta.

Tó powiedziawszy, wyszła odwiedzić swojego chrzestnego syna Józia, który zachorował. Jeszcze matka nie zeszła ze wschodów, a już ciekawa Antosia pochwyciła ze stołu pudelko.

— Jakie ono lekkie!—mówiła do siebie— obracając je na wszystkie strony. No, proszę, całe wieko pełne maleńkich dziureczek, jak gdyby je kto poprzekłuwał śpilką!... Mój Boże! mój Boże! co też tam może być w środku?!

Tak zaciekawiając się coraz bardziej, uchyliła przykrywkę; lecz zaledwie to uczyniła, śliczny, złotego koloru kanarek, wyleciał z pudeleczka i śpiewając radośnie, zaczął fruwać po całym pokoju.

Antosia chciała go złapać i napowrót uwięzić w pudelku, aby matka nie dowiedziała się o niczym; ale daremnie ściagała, daremnie biegała po wszystkich kątach: kanarek ciągle się jój wymykał. Zmęczona i rozcierwieniona dziewczynka,

raz jeszcze pogoniła za ptaszkiem; lecz w téj chwili weszła matka, a spostrzegłszy co się dzieje, rzekła:

— Nieposłuszne i ciekawe dziecię! dla ciebie właśnie przeznaczyłam tego pięknego kanarka, ale przed oddaniem chciałam, abys na niego zasłużyła. Teraz daruję go Józiowi, który daleko jest posłuszniejszy i grzeczniejszy od ciebie.

Ciekawość często wiedzie do złego,
Droga to bardzo pochyła, śliska;
Tych, co się po niej źle iść nie strzegą,
Strąca do ciężkich grzechów siedliska.

III.

JASKÓŁKI.

Było to w początkach wiosny. Jaskółki powróciły z zimowej wędrówki i świegocąc radośnie, zajęły dawne swoje gniazdeczko w sieni jednego z włościan. Ucieszona tém matka, rzekła do dzieci:

— Nie czyńcie żadnej krzywdy tym dobrym ptaszkom; przeciwnie, dozwólcie im wlecieć i wylatać z całą swobodą. Kto wypędza ze swe-

go domu jaskółki, wypędza szczęście razem z niem. Nasz sąsiad zburzył jednego dnia gniazdo jaskółek złożone w jego sieni i potłukł ich jajeczka. Od tego czasu ciągle mu się nieszczęściło, z każdym dniem spotykało go nowe niepowodzenie, aż naostatek popadł w najsmutniejsze ubóstwo.

Mały Czesławek zapytał ojca czy to prawda, a ojciec odpowiedział:

— Pod pewnym względem jest to najzupełniejszą prawdą. Sąsiad znieważył proste i pobożne obyczaje swoich przodków. Jego pradziadowie, jego rodzice, widzieli z pociechą, jak jaskółki gnieździły się pod ich dachem; słuchali z rozrzewnieniem świegotania tych ptasząt, które ich ze wschodem słońca budziło i jakby wzywało do pracy. Ale nasz sąsiad zarówno był nielitościwym dla ludzi, jak dla zwierząt, przebywając połowę nocy w karczmie, nie mógł znieść, że jaskółki nie dały mu spać do późnego rana, to też zniszczył ich gniazdo. Złe nałogi tego człowieka, upodobanie we wszelkiego rodzaju niegodziwościach, opryskliwość względem ludzi i niemilosierdzie z jakim wypędził te niewinne ptaszęta, były w istocie powodem, że pomysłość i szczęście ustąpiły z jego domu.

Człowieku nierozsądny, bez serca i wiary!
Gdy twój próg dasz przestąpić niegodziwej chuci;
Gdy wypchniesz z twego domu ojców zwyczaj stary,
A powitasz występki: szczęście go porzuci!

IV.

W R Ó B L E.

Pewien ślusarz imieniem Konrad, wstawszy bardzo rano, chwycił długą tykę i z największą złością postrzącał wszystkie wróble gniazdeczka, jakie się znajdowały pod gzymsami jego domu.

Karolek, syn sąsiada mieszkającego naprzeciwko, spostrzegłszy to z okna, pobiegł do ogródka gdzie się bawiła Anusia, córka Konrada i zapytał:

— Moja droga Anusiu, powiedz mi, za co twój ojciec tak bardzo się rozgniewał na te biedne wróble? dlaczego zniszczył im gniazda?

— Ja wiem dlaczego—odpowiedziała dziewczynka—oto widzisz, Karolku, od czasu jak mój ojciec przyniósł do domu śliczny złoty kielich i dwa srebrne lichtarze, ciągle mu się zdaje, że wróble od samego rana krzyczą pod naszymi oknami: „Złodziej! złodziej!“

Skoro mały Karolek wróciwszy do domu powtórzył to swoim rodzicom, ci mimowolnie zadrżeli; bo właśnie przed rokiem, dwa srebrne lichtarze i złoty kielich, zostały skradzione z wiejskiego kościółka i dotąd niezdolano wykryć sprawy téj ohydnej kradzieży. Dlatego też ojciec Karolka udał się natychmiast do wójta gminy, któremu powierzył w zaufaniu rozmowę dzieci. Roztropny urzędnik prosił go o milczenie, sam zaś zwrócił baczne oko na postępowanie ślusarza, a przekonawszy się że Konrad daleko więcej wydawał niż mógł zapracować, pociągnął go do odpowiedzialności. Po rozpoczęciu procesu wydało się wkrótce, że w samej rzeczy nie kto inny tylko on, otworzywszy wytrychem drzwi od zakrystyi, popełnił to świętokradztwo. Sąd skazał go na długoletnie więzienie.

Po ogłoszeniu wyroku Konrad zawołał:

— Oh! przekłete wróble: one są przyczyną mojego nieszczęścia!

Ale jeden z sędziów odpowiedział:

— To nie wróble, ale krzyk własnego sumienia wydał twoję zbrodnię. Kto ma nieczyste sumienie, tego własna dusza staje się uporczywym oskarżycielem; jój wewnętrzny głos nie daje mu chwili spoczynku i często występny

ani się spostrzeże, kiedy sam wyda zbrodnię,
którą zdawało mu się że najstaranniej ukrywał.

Strzeżmy sumienia od plamy,
Bo gdy je sponiewieramy,
Wyrzut wewnętrzny zagłuszy
Spokój, najdroższy skarb duszy;
Bo Bóg w sumienia iskierce,
Prawdą oświeca nam serce.

V.

GOŁĘBIE.

Adolf i Leopold, dwaj mali przyjaciele, znani w całej okolicy jako grzeczni i rozsądni chłopcy, sąsiadowali z sobą. Adolf bogaty miał mnóstwo najpiękniejszych, najrzadszych gatunków gołębi. Leopold ubogi miał ich bardzo mało i to z rodzaju najpospolitszych.

Razu jednego dwa gołąbki Adolfa wleciały do gołębnika Leopolda i chciały założyć gniazdo. Pocziwy chłopiec spostrzegłszy to, rzekł do siebie:

— Jakżebym był szczęśliwy, gdyby te gołąbki do mnie należały! ich piórka białe jak śnieg a ogonki i główki czarne jak heban. Ze

wszystkich gołębi Adolfa te najbardziej mi się podobają. Doprawdy, kiedy przyleciały same, mam chęć zamknąć je tutaj i zatrzymać sobie.

— Ale nie! — powiedział po chwili — nie mogę tego uczynić: popełniłbym grzech. Nie powinienem uleść pokusie.

Zatrzasnął więc klapkę, wziął gołębie i odniósł je Adolfowi.

Ten został żywo dotkniętym poczciwością swojego małego sąsiada; podziękował mu serdecznie, a gdy ta sama para gołąbków złożyła w gnieździe jajeczka, zaniósł je potajemnie do gołębnika Leopolda i włożył na miejsce jajek gołębi szarych, zniesionych w tym samym czasie.

Skoro się młode wykluły i zaczęły pokrywać piórkami, Leopold nie mógł się wydziwić widząc, że z koloru piórek i całego kształtu są zupełnie podobne do najpiękniejszych gołębi Adolfa. Pełen radości pobiegł do niego i opowiedział mu o owym nadzwyczajnym zjawisku, którego nie mógł zrozumieć.

Adolf uśmiechał się tylko, a po niejakiem czasie opowiedział swojemu przyjacielowi jakim sposobem pragnąc mu się za poczciwość wywdziękzyć dokonał zamiany. Naostatek dodał:

— Bądź zawsze tak poczciwym, a Bóg i ludzie nie przestaną cię kochać i szanować.

Sprawiedliwość i prawda to dwa światła Boże,
Szczęśliwy! kto ich blasku nie traci przed sobą:
Nikt przy tych cnót pochodni nie wejdzie w bezdroże:
One są najpiękniejszą serc naszych ozdobą!

VI.

K O G U T.

Okolo północy, dwaj złodzieje za pomocą drabinki dostali się przez okno do młyna, chcąc okraść bogatego młynarza. Gdy z całą ostrożnością przebywali na palcach ciemny korytarz, domowy kogut niedaleko nich zapał kilka razy.

Młodszy złodziej przejęty trwogą zatrzymał się i rzekł pocichu do towarzysza:

— Ten kogut bardzo mnie przestraszył, wróćmy się lepiej, bo mogą nas złapać.

— Jesteś tchórzem!—odpowiedział drugi— kto nam pierwszy stanie na drodze, zabijemy go nożami: wtedy kogut nie wyda nas przecie!

Młynarz usłyszawszy szmer wybiegł na korytarz, ale pomimo dzielnej obrony padł pod nożami złoczyńców, którzy zabrawszy jego pieniądze uciekli.

W trzy lata po dokonanej zbrodni ciż sami złodzieje zatrzymali się wieczorem w oberży położonej niedaleko lasu. O północy, miejscowy kogut zapiał na podwórzu tak przenikliwym głosem, że się obadwaj zerwali na równe nogi.

— Przeklęty kogut!—zawołał starszy—chętniebym mu łeb ukręcił. Od wypadku w młynie, pianie koguta przejmuję mnie do głębi duszy.

— To tak samo jak mnie — odpowiedział młodszy — widzisz że i ty jesteś tchórzem!... bądźcobądź, trzeba nam było przynajmniej nie zabijać młynarza. Od owój nocy, która była świadkiem naszej zbrodni, ile razy posłyszę pianie koguta, zdaje mi się że ostry nóż przebija moje serce.

To powiedziawszy obaj zasnęli, ale ze wschodem słońca jeszcze w łóżku zostali schwytni przez żandarmów, bo właściciel oberży, którego pokój sypialny dzieliło tylko od ich stancyjki przegrodzenie z cienkich desek, słyszał ich nocną rozmowę i natychmiast zawiadomił wójta gminy.

Skoro dwaj mordercy skazani na śmierć ponieśli zasłużoną karę, zgromadzony lud mówił między sobą:

— Wszakże to pianie koguta wydało ich! Ha! zbrodnia nigdy się nie ukryje; lepiejby by-

ło, gdyby usłuchali przestrogi pierwszego koguta, który jeszcze w młynie zatrwożył ich przed dokonaniem występkiem.

Szmer ladajaki w dzień, czy w nocnej ciszy,
 Jak grom piorunu przenika zbrodniarza;
 On w nich własnego głos sumienia słyszy,
 Co mu bez przerwy powtarza;
 „Twój czyn nie uszedł Boskiego oka,
 Za zbrodnię kara cię czeka;
 Bo Stwórca patrzy na nas z wysoka
 I czyta w sercu człowieka.“

VII.

K U R A.

Brygida biedna wyrobnica siedziała pewnego wieczora sama w swojej izdebce i przędła na kołowrotku. Ponieważ drzwi były uchylone, kura należąca do jęj sąsiadki weszła do stancyi z pocieszną ostrożnością. Brygida spostrzegłszy to, zerwała się żywo, zamknęła drzwi, wzięła kurę i zamknęła ją w komórce na poddaszu.

— Tutaj rzekła sama do siebie — nikt nie dojrzy jak ją będę karmiła i jak powoli kurczka zniesie mi kilka mendli jaj.

Nazajutrz, w samej rzeczy kura zniosła jaję, ale Brygida ani pomyślała o niepokoju, jakie ją to stworzenie nabawi. Za ledwie jajko zostało złożone na ziemi, kura zaczęła ze wszystkich sił kwokać; napróżno Brygida pobiegłszy śpiesznie na górę, starała się ją uspokoić, sąsiadka usłyszała i poznała głos swojej straty, a wbiegłszy na poddasze, wylajała Brygidę i odebrała zatrzymaną własność.

Aż dotąd biedna wyrobnica często od swojej sąsiadki otrzymywała z litości trochę masła, mleka, sera i tym podobnego pożywienia; ale od chwili skradzenia kury została pozbawioną wszelkiej zapomogi, a co gorzej, zasłużyła sobie na nazwisko złodziejki.

Próżno się zamkniesz na wszystkie strony,
 Ażeby ukryć przedmiot skradziony;
 Głos jego zewsząd ludzi dobieży
 I wyda sprawcę kradzieży.

VIII.

J A J K O.

W czasie wojny nieprzyjaciele wdarli się do miasteczka i zaczęli szukać troskliwie pewnego

człowieka znanego z prawości i pobożności, którego nienawidzili z powodów osobistych i którego poprzysięgli zamordować.

Człowiek ten schronił się do starego, bardzo obszernego budynku. Doszedłszy prawie na samo poddasze obrał sobie kryjówkę za stoścem klepek i opałowego drzewa. Ztamtąd słyszał wyraźnie szmer i rozmowę biegających tu i owdzie żołnierzy, którzy pomimo całej usiłności nie mogli go wynaleść. Ale jakieżże doznał boleści posłyszawszy, iż żołnierze po daremnych usiłowaniach zajęli cały dół tego samego budynku, ażeby w razie gdyby się tam znajdował, zagrozić mu ucieczkę!

Biędny człowiek stracił nadzieję ocalenia: w każdym wypadku spodziewał się blizkiej śmierci, jeżeli nie z rąk nieprzyjaciół to przez głód, który dotkliwie zaczął mu na drugi dzień dokuczać.

W tej ostateczności nie pozostało mu jak tylko udać się do Boga.

— Boże! Ojczy nasz najmiłosierniejszy!—zawołał padłszy na kolana—Twoja dobroć obdarzyła mnie tém schronieniem: nie dopuść ażebym umarł z męczarni głodu!

Zaledwie wzniosł tę modlitwę do Nieba, usłyszał niedaleko od siebie kwokanie kury.

Opuścił więc ostrożnie swoją kryjówkę i zaczął szukać kurzego gniazda. Po kilku chwilach znalazł je, a we środku dojrzał kilka świeżo zniesionych jaj. Pomimo nieznośnego głodu, nie śmiał zabrać wszystkich, z obawy ażeby kura nie poszła gdzieindziej znosić jajka. Wziął więc tylko jedno i zjadł je z wielkim apetytem.

Nazajutrz kura znowu zniosła jaje i biedny człowiek błogosławiąc Opatrzność posilił się znowu. Odtąd przez kilka dni powtarzało się toż samo, dopóki nieprzyjaciel nie ustąpił i nasz poczciwiec nie ukazał się publicznie z wielką radością swoich przyjaciół.

Boskiej dobroci ufajmy zawsze,
Choćbyśmy całą nadzieję stracili;
Z najsroźszych nieszczęść, Bóg w jednej chwili
Wyrwie i ześle życie łaskawsze.

IX.

GĘŚ.

Gęś—mówił Adaś—jest ptakiem cudownie od natury uposażonym. Wprawdzie powiadają: „głupi jak gęś“ i bardzo być może, iż ona nie wie-

le ma rozumu; jednak posiada trzy przymioty, których razem u innych ptaków nie widzimy, chyba u łabędzia, u kaczki i u niewielu ptaków wodnych. Otóż gęś daje sobie rady z trzema żywiołami: z wodą po której pływa, z powietrzem w którym lata i z ziemią po której chodzi. I jakież inne zwierzę może się poszczycić taką potrójną łatwością?

Na to Ludwik, brat Adasia tak odpowiedział:

— Masz szłuszną, ale te trzy przymioty są w gęsi wcale nierozwinięte i służą jój bardzo niedokładnie. Gęś lata: nie przeczę; ale powiedz mi czy lotem dorówna orłowi? Pływa: i to prawda; ale czyż może iść o lepsze z najpowolniejszą rybą?... A chwiejący się i niepewny chód, czyż jój dozwoli iść na wyścigi z zajęcem?

— Dobra uwaga—dodał ojciec—ależ przewodnikiem każdego zwierzęcia jest tylko instynkt, zresztą zostaje ono takim, jakim je Bóg stworzył; zwierzę nie posiada sposobów rozwinięcia zdolności, któremi obdarzyła je natura. Człowiek tylko uposażony rozumem, zdolnym jest do udoskonalenia przymiotów danych mu od Boga. Jednakże ten, co zbyt wielu rzeczy chciałby się wyuczyć razem, najczęściej

zmarnuje swoje życie, przy schyłku którego będzie umiał wszystkiego potrochu, a nie z dokładnością. Chcąc być pewnym siebie, trzeba obrać jeden zawód, jedną sztukę lub jedno rzemiosło, a takowego uczyć się gruntownie:

Kto dziesięciu rzemiosł chwyta,
Sobie tylko tem dokuczy;
Bo choć głowa wysmienita,
Nic się dobrze nie wyuczy:
Będzie z niego gęś prawdziwa,
Co źle chodzi, lata, pływa.

X.

TRZNA D L E.

Jednego dnia w czasie ostrój zimy, dwoje wiejskich dzieci, każde z woreczkiem zboża na plecach, biegły do młyna. Przechodząc obok ogrodu młynarza, spostrzegły mnóstwo trznadli drżących od zimna, na płocie okrytym szronem, i prawie umierających z głodu. Pocziwa Kasia o mało nie rozplakała się na widok tych żółtych ptasząt nie mających pożywienia, to też odwiązała swój woreczek i rzuciła im kilka garstek zboża.

Jej brat Oleś spostrzegłszy to zaczął ją surowo napominać.

— Wiesz co? — mówił do niej — jesteś nierozsądna razem z twoją niewczesną litością! Wyrzuciwszy niepotrzebnie kilka garści zboża, nie wiele zanieziesz do młyna; tym sposobem i mąki daleko mniej przyniesiesz do domu i rada nie-rada otrzymasz karę od rodziców.

Na to przestraszona Kasia odpowiedziała:

— Mój braciszku! może nie byłam powinna uczynić tego co uczyniłam, ale spodziewam się że nasi dobrzy rodzice nie ukarzą mnie za to, że usłuchałam głosu litości: wszakże Bóg może ich w inny sposób wynagrodzić!

Nazajutrz, gdy oboje dzieci powróciły do młyna po odbiór mąki, na pierwszy rzut oka spostrzegły, że woreczek Kasi daleko jest cięższy i większy niż Olesia. Oboje zostali zdumieni, a Kasia gotowa była uwierzyć w cud.

Ale poczciwy młynarz, który słyszał wczorajszą ich rozmowę obok ogrodu i widział dobrego uczynek Kasi, rzekł:

— Moje drogie dziecko, współczucie jakie okazałaś dla zgłodniałych ptasząt, tyle mi sprawiło przyjemności, że podwoilem twoją miarę. Jednak chociaż przyznaję, że ja dosypałem mą-

ki do twego woreczka, powinnaś dar ten uważać jako błogosławieństwo Boga, zsyłające ci nagrodę za twoje dobre, miłosierne serce.

Jak dla równego tobie człowieka,
 Tak dla zwierzęcia bądź litościwy;
 Wszak i robaczka Niebios Opieka,
 Ze wspólnej wszystkim wyżywia niwy;
 A dar, co od nas przyjmą zdręczeni,
 Stwórca nam kiedyś w skarby zamieni!

 XI.

S I K O R A.

Widzisz tę śliczną sikorę bujającą na wierzchołku najwyższej z naszych jabłoni!—zawołał Tadzio do swojej siostry Ludwini—czekaj: za chwilę będzie moja!

To powiedziawszy wdarł się na drzewo, założył potrzask, poczem zszedłszy usunął się z siostrzyczką do pobliskiej altany, aby czatować na ptaszka.

Sikora zwabiona ziarnem wpadła w pułapkę, a w mgnieniu oka Tadzio był już na drzewie dla zabrania zdobyczy. Ale w téjże samej chwili gałązka się nadłamała i nieostrożny chłopiec spadł na ziemię razem z potrzaskiem; sikora przez zła-

many pręcik zdążyła uciec, a Tadzio starł sobie z ręki skórę o resztę owęj złamanej gałęzi.

— O! mój biedny braciszku—zawołała Ludwinia—zakrwawiłeś sobie całą rękę! Spodziewam się, że cię już teraz nie weźmie chętką łązić po drzewach dla wybierania ptakom gniazdeczek, bo mógłbyś jeszcze złamać rękę lub nogę.

— Sama nie wiesz co mówisz!—odpowiedział Tadzio—ani myślę zważać na to lekkie zadraśnięcie; zaraz złowię innego ptaszka, ale muszę poczekać aż nadleci, bo ta sama sikora nie głupia wchodzić do potrzasku, gdzie się już raz złapała.

— Jeżeli tak — odrzekła siostra — to sikora jest rozsądniejszą od ciebie, bo nie naraża się powtórnie na niebezpieczeństwo, którego raz uniknęła. Ty wcale inaczej postępujesz: za ledwie oplaciwszy twoją nieuwagę drobnem skaleczeniem, uniknąłeś może daleko większego nieszczęścia, już z uśmiechem na ustach zapowiadasz mi, że się będziesz narażać na nowe: ej! braciszku! radzę ci, zaniechaj twego zamiaru!

Często złe małe o większem ostrzeżę,
Pamiętaj, dziatwo, że to głos Boga;
Niechajże nigdy taka przestroga,
Bezpożytecznie od was nie odbiega!

XII.

S Z P A K.

Stary myśliwy Maurycy miał w swojej chatce szpaka, którego wyuczył gadać kilka wyrazów. Gdy naprzykład Maurycy zapytał:

— Szpasiu! a gdzie ty?

Ptaszyna odpowiadała natychmiast:

— Otóż jestem!

Karolek syn sąsiada bardzo lubiał słuchać tego szczebiotania i często odwiedzał starego myśliwca. Jednego dnia wszedłszy do chaty, nie zastał Maurycego; schwytał więc ptaka, schował czempredź do kieszeni i chciał się wymknąć; ale w samych drzwiach spotkał wracającego myśliwca.

Maurycy mniemając że sprawi Karolkowi przyjemność, zawołał natychmiast:

— Szpasiu! a gdzie ty?

— Otóż jestem! otóż jestem!—krzyczał ze wszystkich sił ptaszyna ukryty w kieszeni Karolka i tym sposobem wydał zły postępek niegodziwego chłopca.

Chcieć ukryć kradzież, to czczy nadzieja;
Bo gdy Boska wola taka,

By na uczynku chwytać złodzieja:
Dosyć czasem krzyku szpaka.

XIII.

B O C I A N.

Ewa, córka dość zamożnego wieśniaka, porozkładała na małej łączce w ogrodzie mnóstwo cieniutkich nici własnego przędziwa, ażeby pod skwarem słońca jak najpiękniej wybielały. Basia, córka sąsiada, odwiedzała ją często, bo lubiła przyglądać się pracy swojej przyjaciółki, a nawet dopomagała jej skrapiać rozłożone na słońcu nici.

Jednego dnia Ewa spostrzegła, że kilku motków brakuje. W przystępie żalu i zgryzoty powzięła natychmiast podejrzenie na swoją przyjaciółkę; pobiegła więc do niej i nawpół z płaczem zawołała:

— Basiu! niedobra Basiu! to ty ukradłaś moje piękne nici!... nikt inny nie wchodził do ogrodu, nikt więc prócz ciebie nie mógł uczynić tego! Proszę cię zatem, abys mi je oddała natychmiast!

Napróżno mała sąsiadka zaklinała się na ojca, matkę, daremnie przysięgała że jest niewinną. Pogłoska o kradzieży rozeszła się po całej wiosce i w całej wiosce okrzyczano Basię jako złodziejkę.

Biedne dziecko cierpiało wiele, aż w następnym roku przy naprawie bocianiego gniazda, znajdującego się na kościelnej dzwonnicy, stary organista znalazł w niem kilka motków zbutwiałych nici. Wtedy prawda wyszła na wierzch; pokazało się, że bocian porwał nici na wyściolkę swojego gniazda i niewinność Basi głoszone po całej wiosce. Zaraz też potem i Ewa przybiegła prosić ją o przebaczenie.

— Oh! jakże mi bolesno—mówiła ze łzami—że w uniesieniu wyrządziłam ci taką okropną krzywdę! Przebacz mi: zapomnij o tem! Już póki życia mojego, nikogo tak niebacznie nie posądzę!

Pocziwa Basia przebaczyła przyjaciółce, a potem powtórzyła jej słyszaną od starszych naukę:

Często nas podejrzenie ludzi na kształt baśni,
Więc od skorych posądzeń niech się wszyscy strzegą;
Bo zapóźno żałować, gdy prawda wyjaśni,
Że skrzywdziłeś niewinnego.

XIV.

KUKUŁKA.

1.

Pięknego majowego ranka, Jerzy i Michał wyszli na przechadzkę do lasu. Zaledwie ich ogarnęła balsamiczna woń, młodym liściem zazielenionych drzew, usłyszeli po raz pierwszy wesołe kukanie kukułki.

— Aha! — odezwał się Jerzy, bardzo przesądny chłopiec — to dobra wróżba dla mnie; głos tej kukułki zwiastuje mi jakieś niespodziane szczęście, a przynajmniej pełen woreczek pieniędzy.

— Czemu koniecznie dla ciebie tylko? — zapytał niemniej łatwowierny Michał, potrząsając drobnymi pieniędzmi w kieszeni — nie wiem z jakiej przyczyny miałbyś być szczęśliwszym ode mnie?... Założyłbym się, że przychylna wróżba kukułki nie tobie, ale mnie zapowiada radość, z której niesłusznie cieszysz się zawczasu!

I tak od słowa do słowa, zamiast używać przechadzki podczas najpiękniejszej pogody, dwaj przyjaciele pokłócili się na dobre. Od kłótni przyszło do bitwy, aż nareszcie Jerzy i Michał podrapani, obsypani guzami rozeszli się w nie-

zgodzie, poprzysięgając jeden drugiemu dozgonny gniew.

Przesąd, zazdrość, samolubstwo,
Życia nam pogodę chmurzą;
Lada je podżegnie głupstwo,
Już się z chmurki stają burzą:
Przy nich zawsze człowiek traci
Łaskę Boga, miłość braci.

2.

Zdarzyło się, że zagniewani i pobici przyjaciele choć odmiennymi drogami, przyszli obaj do jednego chirurga, aby opatrzył ich siniaki i rany. Podczas bandażowania opowiedzieli chirurgowi powód kłótni i bitki, poczem zapytali, któremu z nich podług jego zdania kukulka wróżyła szczęście?

Na to chirurg wybuchnął śmiechem i odpowiedział:

— Nierozsądni, szaleni chłopcy! radośna wróżba kukulki nie stosowała się do żadnego z was, tylko do mnie, ponieważ pobudziwszy do kłótni i bójki, przysyła was pokaleczonych tutaj; a że za opatrzenie oba musicie mi zapłacić, więc pieniądze nie do waszój, ale do mojej wpadną kieszeni!

Próżnej kłótni, bójki takiój
Unikajcie drogie chłopcy;
Bo wam tylko z niój siniaki,
Z których korzyść zgarnie obcy.

XV.

KUROPATWIE GNIAZDO.

Dwóch chłopczyków znaleźli w zbożu, blisko lasu, kuropatwie gniazdo, a że obaj byli zarówno zręczni jak psotni, udało im się złapać siedzącą na jajkach samicę.

— Ty—rzekł starszy do młodszego—zabierz sobie jajka, a ja z podziału wezmę kuropatwę: zresztą trzeba ci wiedzieć, że one tyle warte co kuropatwa.

— Jeżeli to prawda—odpowiedział młodszy—odstap ją mnie, a jajka zostaw dla siebie.

Starszy nie przystał na taką zamianę, młodszy także nie chciał ustąpić; zaczęli więc od kłótni, a skończyli na bójce, w czasie której kuropatwa wymknęła się z rąk starszemu i uciekła, a młodszy przez nieostrożność podeptał wszystkie jajka. Skoro spostrzegli że im nic nie zo-

stało, przestali się bić; wtedy starszy rzekł do młodszego:

— Nasz ojciec ma wielką szłuszną, bardzo często powtarzając te słowa:

Stara to jest wprawdzie rada,

Ale kto ją dobrze zbada,

Temu jój sens nie jedną spędzi z życia chmurę:

„Lepiej przestać na jajku, niż się bić o kurę.“

XVI.

WIELKIE GNIAZDO.

Grześ był złym i okrutnym chłopcem: najmilszą jego zabawką było wyszukiwanie po wszystkich łąkach, zaroślach i drzewach ptasich gniazd, z których wydobyte piskłęta Nielitościwie zabijał. Ojciec często go napominał i karał, ale nie nie zdołało zmiękczyć Grzesiowego serca.

Pewnego dnia niegodziwy chłopak bawił się, podług swego zwyczaju, wykłuwaniem oczów młodym ptaszkom za pomocą cierniowego kolca i okrutną uciechą, jaką mu sprawiały te biedne osłepione istoty, pragnące uciec w bezpie-

czne miejsce, a niewiedzące gdzie zwrócić lot albo chód osłabiony męczarnią.

Na to nadeszła matka, a spostrzegli co się dzieje, zawołała z żalem i z gniewem:

— Bezbożne dziecko! zatrzymaj w pamięci to co ci przepowiadam: jeżeli się nie poprawisz, możesz być pewnym, że cię Bóg ciężko ukarze!

Ale niepocziwy Grzes śmiał się potajemnie z macierzyńskich przestróg i codzień stawał się gorszym.

Jedną niedzielę, zamiast pójść do kościoła, wymknął się do lasu, gdzie go ciągnęło nawyknięcie okrutnej zabawki. Nagle spostrzegł na wierzchołku najwyższego dębu ogromne ptasie gniazdo. Wdrapał się więc natychmiast, porwał jedno z piskląt i rzucił na ziemię; lecz za ledwie sięgnął po drugie, samiec i samica, dwa wielkie i bardzo niebezpieczne ptaki, do których należały pisklęta, nadleciały z wrzaskiem i ostremi dziobami wyklęły Grzesiowi oba oczy.

Nie potrzebuję wam mówić, że niegodziwiec został kaleką na całe życie; ale oprócz ślepoty, nieszczęście prześladowało go do samej śmierci. Po zgonie rodziców został przywiedziony do takiej nędzy, że musiał zebrać kawałka chleba, którego mu często ci co znali jego dawniejsze

okrucieństwa, z zimną krwią odmawiali. To też Grześ uczuwszy w swojej niedoli sprawiedliwą karę Niebios, często powtarzał spotykany dzieciom:

Bądźcie zawsze pobożni, dobrzy i litośni,
 A Aniołowie Pańscy przed złem was ustrzegą:
 Kto ma duszę pocziwą, temu żyć radośniej,
 A kto w złem zasmakuje, ten zginie od złego.

XVII.

P A P U G A.

Stary i pocziwy marynarz kupił w Indyi prześliczną zieloną papugę; chciał on za powrotem do Europy zrobić z niej podarunek córce właściciela okrętu, na którym służył.

W czasie podróży, dobre człowieczysko zachorowało na mocny kaszel i ból piersi, tak, że lekarz okrętowy polecił, aby go na kilka dni uwolniono od wszelkich czynności. Korzystając z wolnych chwil, marynarz zajął się edukacją papugi i ażeby podarunek był przyjemniejszym małej Hortensyi, wyuczył ją szezebiotać kilka stosownych wyrazów.

Jak tylko okręt przybił do portu, natychmiast stary pobiegł do mieszkania właściciela i ofiarował dziewczynce ślicznego ptaka, który ku wielkiej radości dziecka i rodziców, wykrzyknął wesoło:

„Niech żyje grzeczna Hortensya!“ Ale zaledwie pojęta papużka wyszczebiotała te wyrazy, zaczęła tak mocno udawać kaszel i głośne spluwanie swojego nauczyciela, że cała rodzina wybuchnęła śmiechem, a stary majtek zmartwił się niezmiernie.

Słyszając to zasmucona i trochę rozgniewana dziewczynka rzekła:

— Ta papuga jest niegrzeczna i nierozumna, bo zamiast powtarzać to tylko co ją nauczono, przedrzeźnia złośliwie kaszel swojego dobrego nauczyciela.

Matka Hortensyi nie chcąc narażać starego i wiernego marynarza na pośmiewisko, postanowiła posłać papugę swoim znajomym, mieszkającym o kilkanaście mil od miasta, ale ojciec rzekł:

— Uczyńcie z nią co się wam podoba, jednakże ten ptak pomimo swojej głupoty, daje nam bardzo rozumną naukę. Uważaj dobrze, Hortensyo, bo ona do ciebie jako do najmłodszej,



w lit. M. Fajansa.

PIĘKNY WIERZCHOWIEC.

BIBLIOTEKA
BN
NARODOWA

najwięcej się stosuje. Otóż ta papuga uczy nas, abyśmy naśladowali to tylko, co jest w drugich dobrém, pożyteczném i chwalebném, a wystrzegali się najmocniej naśladownictwa cudzych wad i ułomności.

W dobrem naśladuj drugich, lecz przywary cudze,
Zostaw do przedrzeźniania małpie lub papudze.

XVIII.

PIĘKNY WIERZCHOWIEC.

W czasie wojny pułk huzarów obozował w wielkiej wsi, mającej pozór miasteczka z powodu licznych mieszkańców i pięknych zabudowań. Pewien faktor nazwiskiem Łapigrosz, kręcił się ustawicznie pomiędzy wojskowymi, nastęrczając im konie, handlując, zamieniając stare na młodsze i biorąc za to nie małe pieniądze. Ale ponieważ Łapigrosz był bardzo chciwym, chciał się dobrym czy złym sposobem jak najprędzej zбогаć; to też jeżeli mu się udało, nie poprzestając na uczciwym zysku, kradł konie w jedném miejscu a odprzedawał w drugiem. Otóż pewnej

nocy upatrzawszy poprzednio jednego z najpiękniejszych huzarskich koni, wyprowadził go cichaczem ze stajni i ukrył w pobliskim lesie, a skoro pułk wymaszerował, Łapigrosz dosiadł skradzionego konia i pojechał w przeciwną stronę, aby go bezpiecznie jakiemu gospodarzowi sprzedać.

Przybył do bardzo oddalonego od tamtej wsi miasteczka, lecz obawiając się przebywać je wśród dnia, postanowił objechać naokoło. Z początku jakoś mu się dość dobrze udawało omijać ludne miejsca, ale gdy przejeżdżał obok jednego z szancowych bastyonów, spostrzegł oddział dragonów, odbywających konno manewra wojskowe. Cokolwiek zmieszany tém Łapigrosz, popędził konia, ale w tej właśnie chwili dał się słyszeć odgłos trąbki, a dzielny wierzchowiec pomimo oporu ze strony faktora, uniósł go w pełnym galopie, przeskoczył rów ciągnący się po nad drogą, wpadł na plac, stanął w szeregu i na odgłos komendy połączonej z dźwiękiem trąbki, zaczął wykonywać wszelkie obroty, to galopem, to kłusem, z jak największą dokładnością. Biedny Łapigrosz, któremu w pędzie spadł kapelusz, za ledwie z przestachu mógł się utrzymać na siodle; pot wielkimi kroplami spływał mu z czoła, kie-

dy tymczasem żołnierze zanosili się od śmiechu na widok przerażonego jeźdźca, który straciwszy przytomność, prawie nie wiedział co się z nim dzieje.

Skoro się mustra skończyła, żołnierze i oficerowie otoczyli faktora, a jeden z dowódców spoglądając na niego z niedowierzaniem, rzekł:

— Jak uważam, twój wierzchowiec młody i piękny, należał do jakiegoś wojskowego: jest on doskonale wytresowany. Powiedz-no mi kochanku, jakim sposobem nabyłeś tego konia?

Łapigrosz odpowiedział że go kupił, ale nie umiał powiedzieć od kogo, a skoro nalegany coraz bardziej się mieszał i plątał, dowódzca rozkazał go aresztować. Niezadługo potem, dzięki starannym poszukiwaniom dowiedziono panu Łapigroszowi, jakim sposobem nabył tego wierzchowca i cała sprawa skończyła się na tém, że go skazano na kilkoletnie więzienie za złodziejstwo.

Sprawiedliwości nie zwiedziesz Bożej,
Kłamstwem, podstępem, ni sztuką żadną;
Zawsze złoczyńcy później czy skorzej,
Mimo zręczności, karze podpadną.

XIX.

P O D K O W A.

Ojciec Mateusz roztropny gospodarz wiejski, wyszedł na przechadzkę z swoim synem Tomaszem. Na drodze spostrzegł kawał podkowy końskiej i rzekł:

— Patrzaj-no Tomku, koło kamyka leży kawał zgubionój podkowy, podnieś to i schowaj do kieszeni.

— Eh! mój tatuniu—odpowiedział Tomek— na co się to przyda? niéma się po co i schylać!

Mateusz, który słyszał znaną wśród wiejskiego ludu przypowieść o Panu Jezusie i świętym Piotrze (co tak samo nie chciał podnieść podkowy), ucieszył się w duchu, że będzie ją mógł zastosować do swojego syna; podniósł więc kawał żelaza i niewyrzekłszy słówka, schował je do kieszeni. Skoro nadeszli do sąsiedniej wioski, Mateusz sprzedał znalezione żelazo kowalowi, a za pozyskane kilka groszy kupił wybornych wisien, poczem ruszyli w dalszą drogę.

Dzień był bardzo gorący, Tomek usychał z pragnienia: ale na nieszczęście za wioską roz-

ciągały się obszerne piaski, na których ani drzewka z cieniem, ani najdrobniejszego strumyka lub sadzawki nie było.

Wtedy ojciec, niby przez nieostrożność upuścił jedną wiśnię. Tomek podniósł ją z taką chciwością, jak gdyby była cała ze złota i natychmiast połknął. W kilka chwil ojciec upuścił drugą, potem trzecią, a Tomek z równym podnosił je pośpiechem. Tym sposobem Mateusz poupuszczał wszystkie wiśnie, zmuszając niby mimowolnie syna, aby po każdą schylał się osobno.

Skoro już Tomek zjadł wszystkie i dostatecznie ugasił pragnienie, ojciec obrócił się do niego z uśmiechem i rzekł:

— Widzisz leniuszku, gdybyś się był raz jeden schylił po kawałek podkowy, nie potrzebowałbyś schylać się po każdą wisienkę, bo byłbyś sam sobie kupił odrazu wszystkie. Pamiętajże na całe życie następującą przestrożę:

Spiesz się z pracą, pójdzie gładziej
Póki się nie nagromadzi;
Kto dziś mniejszy trud odwleka,
Jutro go podwójny czeka.

GWÓZDZ OD PODKOWY.

Gospodarz Antoni siodłał swojego konia, chcąc pojechać do miasta. Kiedy już pozapinał wszystkie sprzączki u podpręga, spostrzegł że z jednej podkowy wypadł gwóźdź; wprowadzie kowal był we wsi, ale Antoni rzekł do siebie:

— Jak poprowadzę konia do kowala, zmiętrzę z jaką godzinę czasu; lepiej jechać do miasta: toć-że jeden gwóźdź nie wiele znaczy, z jednym więcej lub bez jednego mniej, jednakowo zajadę. Wskoczył więc na siodło i ruszył dobrym kłusem.

W połowie drogi ani się spostrzegł, jak reszta gwoździ wypadła i koń zgubił podkowę.

— Masz-że tobie!—pomyślał gospodarz—gdyby tu blisko był kowal, kazałbym podkuć moję szkapę; ale ponieważ niema, zajadę o trzech podkowach tak dobrze, jak o wszystkich czterech.

Tymczasem droga stawała się coraz bardziej żwirowatą, koń skaleczył kopyto o odłamek krzemienia i okulał. W kilka chwil później, dwaj złoczyńcy zaczajeni w zaroślach wyskoczyli z zasadzki, aby obedrzeć podróżnego. Antoni chcąc umknąć popędził konia, ale kulawe

biedaczysko zamiast ruszyć galopem, coraz bardziej upadał, aż złodzieje schwytawszy gospodarza, odebrali mu zawiniątko, obdarli z pieniędzy i zabrali nawet kulawego wierzchowca.

— Ktoby pomyślał—zawołał wówczas zapłakany wieśniak—że z przyczyny jednego gwoźdźcia stracę i pieniądze i tłomoczek i konia!

Potém rad nierad z wielkiém zmartwieniem wrócił do domu pieszo i od tego dnia zawsze powtarzał swoim dzieciom:

Niech wam moje przestrogi z pamięci nie giną:
Często drobnostka bywa wielkich strat przyczyną,
Gdy zaniedbasz pierwszego przeciw złemu środka,
Złe wzrośnie i z twój winy nieszczęście cię spotka.

 XXI.

K R O W A.

Dorota niezamożna wdowa, żyła z dwiema swojemi córkami w stanie bardzo blizkim nędzy. Co pozyskała z pracy, zaledwie wystarczyło na codzienne potrzeby. Na domiar nieszczęścia jedyna krowa, której mleko stanowiło znaczniejszą część ich utrzymania, zachorowała i padła. Biedne kobiety były prawie w rozpacz.

— Mój Boże!—mówiły do siebie ze łzami—
gdyby jakim cudem pozyskać drugą krowę, bo
inaczej nie możemy się spodziewać pieniędzy na
tak wielki wydatek!

— Czyńcie to tylko coście powinny czynić
w nieszczęściu—rzekła im roztropna sąsiadka—
a Bóg widząc wasze usiłowania, niezawodnie przy-
spieszy miłosierną pomoc.

Na to sąsiadka odrzekła w ten sposób:

— Cóż więc potrzeba abyśmy czyniły?—za-
pytała Dorota.

— Najpiérw trzeba powiększyć wasze do-
chody przez powiększenie pracy. Wszystkie trzy
jesteście silne i zręczne, umiécie prażyć, szyć i ro-
bić pończochy; pracujcie codzien o jedną lub dwie
godziny dłużej, a byłoby bardzo źle, gdybyście
nie zarabiałły każda o kilkanaście groszy więcej
niż dotąd. Powtóre, wypada zmniejszyć wyda-
tki przez zaprowadzenie stosownych oszczędności.
Co rano pijacie na śniadanie coś podobnego do
kawy, a chociaż w tém nie wiele jest prawdzi-
wój kawy i cukru, zawsze to drożej kosztuje, niż
szklanka czystego mléka i kawałek chleba, które
niemniej was pożywią, a oprócz tego oszczędzą
codzien po kilka groszy. Na obiad jadajcie ró-
wnież tańsze a posilniejsze potrawy; składajcie

osobno pieniądze z powiększonej pracy, dodawajcie do nich pozostałe oszczędności, a ręczę że niezadługo uzbieracie sumę wystarczającą na zakupienie bardzo pięknej krowy.

Dorota i jej córki niezaniedbały pójść za tą rozumną radą; tym sposobem przy końcu roku zebrały dwa razy tyle, ile było potrzeba na upragnione kupno. Co więcj, nauczyły się polepszania swojego losu przez nieustanną czynność i rozważne oszczędności, tak, że wkrótce zakosztowały spokojnego i niezakłóconego troskami bytu.

— Widzicie, że miałam szłusność — rzekła im wówczas sąsiadka — to też zachowajcie w pamięci następującą maksymę:

Popadłszy w prąd nieszczęścia, kto opuści dłonie,
I tylko czas na skargi daremnie marnuje;
Kto ze złem nie chce walczyć, ten pewno utonie:
Walcz z niém, ratuj się, wtedy i Bóg poratuje!

 XXII.

D Z W O N E K.

1.

Ojciec poruczył Sobusiowi, podrostkowi wiejskiemu, pilnowanie krów pasących się w lesie. Wszy-

stkie te krowy miały uwiązane u szyi jednakowe dzwonki, oprócz jednej tylko, która, dlatego że była najpiękniejszą, dostała i najpiękniejszy dzwonek.

Jakiś człowiek obcy, przechodząc drożyną leśną, rzekł do Sobusia:

— Jak uważam, kochany mój chłopczyku, ta krówka ma na szyi prześliczny dzwonek... ile też on mógł kosztować?

— Półtrzecia złotego—odpowiedział Sobuś.

— Co? tylko półtrzecia złotego?!...—zawołał nieznajomy—ja ci dam chętnie całe sześć, byleś mi go odstąpił.

— Oho! — pomyślał Sobuś—to zarobek nielada!... i niewchodząc w dalszą rozmowę, oddał nieznajomemu dzwonek, a sześć nowiuteńkich złotych włożył radośnie do kieszeni.

Ale ponieważ krowa została pozbawioną dzwonka, Sobuś nie mógł wiedzieć w której pasła się stronie; a kiedy się już znacznie oddaliła od trzody, ów nieznajomy wyskoczył z gęstwiny, pochwycił ją za rogi i niedostrzeżony przez nikogo wprowadził z lasu.

Wtedy dopiero Sobuś przekonał się, że został oszukany przez złodzieja.

Pomnij, że podstęp wszędzie się ciśnie,
 Gdy kto za pestkę daje ci wiśnie,
 Nie bierz; bo często wspaniałość taka
 Jest tém, czém wabik strzelca dla ptaka.

2.

Sobuś z zapłakanemi oczami powrócił do domu i opowiedział rodzicom swoją nieszczęśliwą przygodę.

— Ach!—mówił ze łkaniem—gdybym mógł pomyśleć, że niegodziwiec dlatego tylko tak hojnie płaci mi za dzwonek, aby łatwiej skraść naszą najpiękniejszą krowę!...

— Moje dziecię — rzekł ojciec — jak dziś oszukał cię złodziej, tak samo i występki często uludzić nas potrafi. Grzech z początku rzuca nam przed oczy pozorne korzyści, ale zawsze naostatku naraża nas na wielkie straty. Gdy dziś po fałszywe uciechy, jakie ci ofiaruje pokusa do złego, wyciągniesz choć jeden palec, możesz być pewnym, że jutro grzech ogarnie całego ciebie. Staraj się więc pamiętać te słowa:

Złe często ludzi wdzięcznym uśmiechem,
 Przedstawia oku zdradne powaby;
 Gdy się im oprzeć będziesz zaślaby,
 Łatwo sumienie obciążysz grzechem.

3.

Sobuś wysłuchał z pokorą uwag poczciwego ojca, a gdy ten przestał mówić, matka podając stroskanemu chłopcu wieczerzę, rzekła:

— Ależ powiedz, mój drogi Sobeczku, czy zapomniałeś do czego służy stary zwyczaj przywiązywania bydłu dzwonek u szyi?

— Aj! kochana matulu—odpowiedział chłopczyna—to pieniądze tak mnie zaślepiły! Pomyślałem sobie: „ni ztąd ni zowąd, mogę zarobić półczwarta złotego; toć-że dzwonek jest dla krowy ozdobą zbytkowną, toć-że ona z nim czy bez niego, nie da ani kropelki mleka więcej... I dopiero gdy krowa przepadła, przypomniałem sobie, że na to dają bydłom dzwonki, aby pasterz dosłyszał w którą pobiegną stronę, zwłaszcza gdy je zapędzi do lasu. Ale cóż? to wszystko przypomniałem sobie zapóźno!

— Podobnie—dodała matka—dzieje się i z ludźmi, którzy bez zastanowienia idą za pierwszym głosem swojej zarozumiałej namiętności. Odrzucają oni często zwyczaje uświęcone przez czas, jako niby zbyteczne i niepotrzebne; dopiero później kiedy kosztem wielu strat i zawodów

nabędą tego co się nazywa mądrością, przekonują się, że ich przodkowie wprowadzając owe zwyczaje, mieli do tego bardzo słuszne powody.

Niektóre jeszcze naszych praojców zwyczaje,
Czas uświęcił; toż skoro zbyt pewna swój siły
Mądrość wnuków je zniszczy, dopiero poznaje
Jak były użyteczne, jak rozumne były.

XXIII.

O W C E.

1.

Młody pasterz hodował w górach liczne stado owiec. Pewnego dnia wypędziwszy je na pastwisko, usiadł pod cieniem jodły na odłamie skały i zaczął drzemać, a skoro sen zakleił mu powieki, głowa jego pomimo woli to opadała na piersi, to znów kołysała się na lewo i na prawo. Ogromny czarny baran żerujący niedaleko, myślał że jego pan chce się z nim spróbować i że kiwaniem głowy drażni go, aby zmusić do walki. Natychmiast więc przybrał obronną postawę, cofnął się o kilka

kroków do lepszego rozpędu, potem poskoczył naprzód i swojemi zakrzywionemi rogami uderzył z całej siły śpiącego. Pasterz zbudzony w tak bolesny sposób z przyjemnego snu, okropnie się rozgniewał; porwał się z miejsca, chwycił barana za rogi i odrzucił daleko od siebie. Przestraszone zwierzę chcąc uciec potknęło się i wpadło w przepaść, a owce których było więcej niż sto, natychmiast poskoczyły za baranem i jedna po drugiej wpadając w tę samą otchłań, porozbijały się o skały. Pasterz widząc to wyrwał sobie włosy z rozpacz i zapóźno powtarzał z płaczem przestrożę starego proboszcza:

Strzeż się gniewu, jego władza
Źle kieruje, źle doradza;
Kto usłucha go w zapędzie,
Najpierw sobie szkodzić będzie.

2.

Niezadługo cała okolica dowiedziała się o nieszczęśliwym wypadku z owcami, a jeden z najstarszych i najrozumniejszych pasterzy, znalazł sposobność uczynić z niego bardzo trafne porównanie.

Pewnego dnia podczas jarmarku, jego córki i synowie chcieli koniecznie iść do miasta, aby potańczyć trochę w tamtejszej karczynie; ale ojciec powiedział:

— Na to pozwolić nie mogę, bo taka zabawa wcale wam nie przystoi. W jarmarcznych zgromadzeniach nie wszystko odbywa się w przyzwoitym porządku, a wiecie o tem dobrze, żem zwykł chronić was od wszelkiego zepsucia; gdybyście tam poszły, łatwo dałybyście się wciągnąć do złego.

— Ależ kochany ojcze — zawołały dzieci — wszakże tam poszło tylu innych!

— Prawda — odrzekł pasterz — ale przed temi co dziś poszli, chodzili jeszcze inni, którzy zostawili tam spokojność, zdrowie i sumienie. I z jakiegoż powodu macie ich naśladować? Strzeżcie się postępować jak owce, o których wiecie, że gdy jedna rzuci się w przepaść, wszystkie inne skaczą natychmiast za nią. Wszakże dlatego zowiecie je głupiami. Człowiek, który rzuca się w otchłań występku lub nieszczęścia, dlatego że ktoś inny uczynił to samo, wcale nie jest rozumniejszym od tych zwierząt: jest on prawdziwym baranem.

W tém co dobrze czynią drudzy,
Naśladujcie przykład cudzy;
Ale, dziatwo! bądź ostrożna
Tam, gdzie serce zgorszyć można!

XXIV.

K O Z I E Ł.

Pani Grodzińska mieszkająca w ładnym domku niedaleko od miasta, rzekła pewnego poranku do swojej służącój:

— Słuchaj Małgosiu, ja pójdę do kościoła; jeżeli wyjdiesz po wodę lub do ogrodu po fasolę, pamiętaj zamknąć drzwi za sobą. Zawsze cię o to napominałam a nigdy nie byłaś posłuszną, spodziewam się, że tym razem usłuchasz. Jeżeli zostawisz drzwi otwarte, może kto wejść i okraść nas.

To powiedziawszy poszła do kościoła, a w kilka chwil i Małgosia wyszła do bliźkiego źródła po wodę, zostawiwszy jak zwykle wszystkie drzwi pootwierane.

W alei nie było widać nikogo, to téż Małgosia zaczęła się głośno wysmiewać z ostrożności

swojej pani. Przy źródle spotkała drugą służącą z sąsiedniego folwarku i wdawszy się z nią w rozmowę, ani myślała wracać do domu.

Tymczasem kozieł, który skubał trawę na łączce tuż przy alei, spostrzegłszy drzwi otwarte, wskoczył na wschody, wszedł do sieni i błądząc z kąta do kąta, dostał się aż do sypialnego pokoju pani Grodzińskiej.

Tam nie było już żadnego innego wyjścia, bo w miejscu drugich drzwi wisiało ogromne zwierciadło w złotój ramie, sięgające aż do posadzki. Kozieł spostrzegłszy w lustrze swoją postać, że naprzeciw niego stoi drugi kozieł, począł mu więc grozić rogami. Drugi uczynił to samo. Wtedy prawdziwy kozieł rzucił się na swego niby przeciwnika i z taką siłą uderzył rogami w lustro, że się rozprysło na tysiąc drobnych kawałków.

W téj właśnie chwili, Małgosia weszła do sieni z pełnym dzbankiem: a posłyszawszy brzęk stłuczonego szkła, pobiegła czémprędzej do pokoju swojej pani, gdzie na pierwszy rzut oka przekonała się o całym nieszczęściu. Strwożona dziewczyna załamała ręce w rozpacz, potem bijąc niemilosiernie kozła wypędziła go z domu;

ale zemsta nad bezrozumnym zwierzęciem wcale nienaprawiła szkody: lustro nie na żarty było stłuczone.

Skoro pani wróciła, zaraz za nieposłuszeństwo odprawiła niedbałą Małgosię, której zasługi zatrzymała na wynagrodzenie choć setnej części poniesionej przez nią straty.

W nowej służbie gdzie się Małgosia zgodziła, już niepotrzebowano upominać ją o zamykanie drzwi; pamiętała o tem sama, bo własnym kosztem nabyła doświadczenia. Wielu jest ludzi podobnych w tym względzie do Małgosi, to też do nich można zastosować te słowa:

Dla niebacznie drwiącego z niebezpieczeństw zucha,
Dopiero w doświadczeniu nauka prawdziwa;
Téj, czy młody czy stary zarówno usłucha...
Bo doświadczenie *własnym kosztem* się nabywa.

 XXV.

J E L E Ń.

Stanisław był jeszcze małym chłopcem, kiedy jego ojciec, poczciwy leśniczy, został zabity w gęstéj kniei przez jakiegoś ukradkowego niszczyciela zwierzyny, którego śladu sprawiedliwość wy-

kryć nie mogła. Jednakże matka Stanisława pracując dzień i noc prawie, wychowywała jak mogła jedynaka, a gdy skończył rok piętnasty, oddała go na naukę do leśniczego dóbr sąsiednich, gdzie Stanisław tak wydoskonalił się w swoim zawodzie, że po kilku latach otrzymał posesję po nieboszczyku ojcu.

Pewnego dnia wybrał się na polowanie w towarzystwie kilkunastu strzelców, którzy natrafivszy prześlicznego jelenia, ścigali go zawzięcie. Nikt jednak nie dopędził go na odległość strzału, jeden tylko Stanisław posłyszawszy szelest, zaczął się za krzakiem, a gdy spostrzegł jelenia, zmierzył, dał ognia i chybił. Zwierzę pobiegło dalej, ale jednocześnie rozległ się z gęstwiny przeraźliwy głos boleści, wołając:

— Ratujcie! jestem raniony!

Stanisław pobiegł natychmiast ku miejscu, z kąd krzyk ten pochodził, i znalazł starca zbrozonego krwią i wijącego się w konwulsjach kłania. Wszyscy myśliwi zebrali się koło umierającego; tymczasem Stanisław ukląkszy przy nim, tulił go do piersi płacząc rozpaczliwie, błagając o przebaczenie i zaklinając się, że go nie widział wtedy gdy strzelał.

Ale starzec odpowiedział:

— Nie powinienes prosić mnie o przebaczenie, jestem blizki śmierci i przed skonaniem wyjawię ci tajemnicę dotąd nikomu nieznaną. Ja to jestem wykradaczem zwierzyny, który zabił twój ojca. Tutaj pod tym starym dębem, w tém właśnie miejscu, gdzie teraz leżę, krew twój ojca zarumieniła ziemię i w tém samym miejscu ty, syn mojej ofiary, zrzędzeniem Niebios, bez wiedzy ani woli pomściłeś zbrodnię, która cię uczyniła sierotą.

Głos jego stawał się coraz słabszym.

— Bóg jest sprawiedliwy — szeptał jeszcze i w kilka minut skonał.

Pomiędzy świadkami tego wypadku nie było nikogo, ktoby nie uczuł dreszczy przerażenia, a jeden z nich zawołał:

„Choć sprawiedliwość Boża zwolna czasem bieży,
Zawsze ona nad nami; a gdy przyjdzie kolój,
Jak grom piorunu szybko w przestępcę uderzy
I zasłużonej kary ujęć mu nie dozwoli.“

 XXVI.

L E W.

Biedny niewolnik wykradł się z domu swojego pana, ale został schwytyany i skazany na śmierć.

Zaprowadzono go na obszerny plac, otoczony wysokim parkanem i wypuszczono na niego okrutnego lwa. Kilka tysięcy widzów patrzyło na tę przerażającą scenę.

Lew rozzłoszczony skoczył ku skazanemu, ale o dziwo! nagle się zatrzymał, począł wzruszać ogonem i skakać radośnie około niewolnika, liżąc od czasu do czasu jego ręce. Na ten widok wszyscy osłupieli i zażądali, aby skazany wyjawił im powód takiego cudu.

Wtedy niewolnik rzekł:

— Kiedy uciekłem z domu mojego pana, dostałem się na puszcę i ukryłem się w jakiejś obszernej jamie. Zaledwie tam wszedł, wczolgał się za mną ten lew rycząc boleśnie i pokazując mi łapę, w której mu uwiązał grubý cierniowy kolec. Wydobyłem cierń, a w kilka dni zwierzę wyzdrowiało zupełnie. Od téj chwili lew dostarczał mi ciągle zwierzyny i żyliśmy sobie w jamie jak dwaj przyjaciele. Ale podczas ostatniej oblawy zostaliśmy rozłączeni i jak widzicie obydwóch nas schwytano. Teraz to pojętne zwierzę cieszy się, że mnie znalazło.

Lud zachwycony i rozrzewniony wdzięcznością dobrego lwa, zawołał:

— Niech żyje człowiek litościwy, niech żyje wdzięczny lew!

Nikt nie śmiał się sprzeciwiać ogólnemu żądaniu; natychmiast obdarzono skazanego wolnością i obsypano bogatymi podarunkami.

Od tego dnia lew ani na krok nie odstąpił swojego wybawcy, wszędzie mu towarzyszył łagodny i posłuszny jak pies, nieczyniąc krzywdy nikomu.

Gdy i bezrozumne zwierzę
O wdzięczności swój pamięta,
Niech-że ludzi Pan Bóg strzeże,
By wstydziły ich zwierzęta!

 XXVII.

M Y S Z.

Marceli był biednym wyrobnikiem; mieszkał w małej mieścinie, na wąskiej uliczce, niedaleko poczty. Ponieważ umiał dobrze powozić, ekspedytor poczty przyjął go do służby.

Wkrótce potem Marceli został oskarżony o kradzież owsa. Widziano go poprzedniej nocy, jak wchodził cichaczem do domu, niosąc na plecach ogromny worek.

Ekspedytor poszedł natychmiast do jego mieszkania i kazał mu się wytłumaczyć z zarzutu.

— Panie — odpowiedział Marcelli — zrewiduj cały dom, jeżeli znajdziesz jedno ziarnko owsa, możesz mnie oddalić ze służby.

Ekspedytor w towarzystwie Marcelego zrewidował całe mieszkanie, przeszedł wszystkie izby, zacząwszy od poddasza a skończywszy na piwnicy, i w samą rzecz nie znalazł ani jednego ziarnka owsa.

— Panie — rzekł wówczas Marcelli — nie mam prawa czynić ci wyrzutu, że chciałeś poznać prawdę, ale potwarzy którzy mnie oskarżyli, muszą mi wrócić honor i odpokutować za taką ciężką zniewagę!

To mówiąc tak silnie uderzył pięścią w stół, że cały pokój zadrżał i... dziwna rzecz! mnóstwo ziarenek owsa na stół się posypało.

Marcelli schował skradziony owies w skrytkę urządzoną między podłogą górnego pokoiku a sufitem izby dolnej, w której właśnie rozmawiał ze swoim panem. Mysz wygryzła w suficie maleńką dziurkę, około której po silnym uderzeniu w stół, odpadło trochę tynku i owies wysypał się w samą porę. Marcelli zbladł jak trup, bo po tak jawnym dowodzie nie mógł zaprze-

czać kradzieży. Wkrótce został osądzony i skazany na całe życie więzienia.

Zły kryjąc się z występkiem, próżno sobie tuszy,
 Że go nikt nie zobaczy ani nie dosłyszcy;
 By go wydać, wystarczy psota drobnój myszy,
 Bo tak chce Bóg, co widzi każdą skrytość duszy.

XXVIII.

W I L K.

Mały Jaś lubił bardzo kłamać. Pewnego dnia pasąc owce blisko dużego lasu, przyszedł mu koncept do głowy, aby zażartować z towarzyszy i zaczął krzyczeć na całe gardło:

— Wilk! wilk! na pomoc! ratujcie!

Przestraszeni wieśniacy natychmiast przybiegli tłumnie z siekierami, cepami, kijmi i kosami, aby zabić drapieżne zwierzę; ale nie widząc nic, wrócili do swoich zatrudnień, kiedy tymczasem Jaś wyśmiewał się potajemnie z ich przerażenia.

Nazajutrz znów zaczął krzyczeć:

— Wilk! wilk! ratujcie!

Wieśniacy znowu nadbiegli; prawda że w mniejszej liczbie niż wczoraj, ale zawsze było ich kilkunastu. Tym razem niezastawszy wilka,

wrócili do chat rozgniewani, złorzecząc że ich niepotrzebnie oderwano od pracy.

Na trzeci dzień ogromny wilk wyszedł na prawdę z lasu. Skoro go Jaś spostrzegł, zaczął krzyzcć przeraźliwie:

— Wilk! wilk! ludzie! ratujcie!

Ale niestety! nikt a nikt nie pospieszył na pomoc małemu pastuszkowi.

Okrutne wilczysko wpadło na trzodę i zadusiło mnóstwo owiec. Pomiedzy innemi zadławił i porwał do lasu ślicznego baranka, którego ojciec podarował Jasiowi na imieniny, a którego mały kłamca teraz oplakiwał rzewnemi łzami.

Że kłamca zwiedzie zręcznym obrotem,
Codzien możecie przykład mieć świeży;
Lecz kto raz skłamie, temu już potém,
Choć mówi prawdę, nikt nie uwierzy.

XXIX.

NIEDŹWIEDŹ.

Ogromny niedźwiedź przebywał w gęstym lesie. Wojciech i Jakób dwaj młodzi myśliwi, którzy podróżowali razem, posłyszawszy o nim, rzekli do siebie:

— Musimy upolować tego niedźwiedzia.

Odtąd codzien od samego rana chodzili do lasu na czaty, a wieczorem wracali do oberży i choć nie mieli pieniędzy, pili najlepsze wino.

— Jak zabijemy niedźwiedzia — mówili do oberżysty — sprzedamy natychmiast skórę: to wystarczy na zapłacenie za wszystko, co tu zjemy i wypijemy.

Pewnego dnia, kiedy podług zwyczaju przebiegali knieje, niedźwiedź wyszedł naprzeciw nich mrużąc w przerażający sposób.

Wojciech zmierzył i wypalił, ale ponieważ ręka mu drżała ze strachu, chybił. Rzucił więc broń w krzaki, a sam wdarł się na drzewo. Jakób chciał także strzelić, ale kapiszon pękł i fuzya nie wypaliła; położył się zatem na ziemi i udał umarłego. Niedźwiedź zbliżywszy się do niego obwąchał mu usta, nos i uszy, potem odszedł powoli bo niedźwiedzie nie ruszają trupów.

Skoro straszliwe zwierzę było już daleko, Wojciech żartując zapytał towarzysza:

— Jakóbie, co on ci szeptał do ucha?

— Co mi szeptał?...—odpowiedział Jakób— oto dał mi przestrożę, abyśmy na przyszłość

138a



w Lit. M. Fajansa.

MAŁPA.

BIBLIOTEKA
BN
NARODOWA

nie sprzedawali skóry niedźwiedzia, dopóki go nie zabijemy.

— Słusznie mówił — dodał z uśmiechem Wojciech i powtórzył towarzyszowi słowa, których będąc dzieckiem nauczył się od ojca, a o których na nieszczęście zapomniał polując na niedźwiedzia:

„Rozporządzać tém czego nie masz, a co może
Pełna zawodów przyszłość kiedyś ci przyniesie,
Jest-to sprzedawać dzisiaj przyszłoroczne zboże,
Albo skórę niedźwiedzia gdy ten jeszcze w lesie.“

XXX.

M A Ł P A.

Był niegdyś stary bogacz, ale tak skąpy, że żadnemu ubogiemu nigdy nie dał ani grosika. Trafiło mu się kupić bardzo tanio małą, którą był jedynie dlatego, aby drożej odprzedać.

Jednego dnia stary ten skąpiec z kamieniem sercem wyszedł z domu. Tymczasem mała skacząc i łażąc po wszystkich kątach, dostrzegła jak sąsiad jej pana mieszkający naprzeciwko, wyrzucił oknem trzygrośniaka przechodzącemu bie-

dakowi. Natychmiast zmyślna małpa otworzyła szkatułę starego chciwca, nabrała złotych i srebrnych pieniędzy i garść po garści zaczęła je oknami wyrzucać na ulicę.

Mnóstwo ludzi zbiegło się pod okno: kto był bliżej zbierał pieniądze, kto nie mógł się docisnąć wydierał je drugiemu, tak że w kilka minut, prawie wszyscy zaczęli się bić i ztąd powstał ogromny hałas.

Szkatuła była już prawie pusta, kiedy skąpiec wracając do domu, jeszcze od rogu ulicy przy której mieszkał, spostrzegł z przerażeniem co się u niego dzieje.

— Oh! to okropnie! to szkaradnie! o przekłeta małpa!—krzyczał zdaleka na całe gardło, wygrażając małpce obiema pięściami.

Ale sąsiad z przeciwka tak się odezwał do rozzłoszczonego starca:

— Mój przyjacielu, poddaj się bez szemrania smutnemu losowi, może w nim jest kara i nauka dla ciebie. Prawda że to szaleństwo, wyrzucać oknem pieniądze, jak twoja małpa; ale nie mniejszym jest nierozsądkiem zgromadzać je do skrzyni i dozwalać, aby tam pleśniały bez pożytku dla siebie i dla bliźnich.

Kiedy kogo Bóg wzbogaci,
To z warunkiem tym jedynie,
Że z bogactwa korzyść spłynie
I na niego i na braci.

XXXI.

Ż M I J A.

Jednego poranku pani R. siedziała w swoim pokoju zajęta gospodarskimi rachunkami. W tymże samym pokoju sześcioro jej dzieci zatrudniały się czém które mogło. Dwaj chłopcy czytali i pisali, dwie średnie dziewczynki robiły pończoszki, a dwie najmłodsze bawiły się w panią i służącą. W tej chwili wszedł ogrodnik z koszykiem pełnym świeżuteńkich kwiatów, które postawił na stole, mówiąc, że je przyniósł w podarunku dla grzecznych dzieci.

Całe rodzeństwo z krzykiem radości otoczyło stół, podziwiając prześliczne kwiaty, a matka widząc uradowane twarzyczki swoich dzieci, przypatrywała się im z zadowoleniem więcej, aniżeli napelnionemu różami i lilijami koszykowi.

Ale w kilka minut kwiaty zaczęły się poruszać i jednocześnie jadowita żmija z złowróbnem syczeniem wychyliła z nich uzbrojoną żądłem głowę. Przerażone dzieci rozbiegły się na wszystkie strony.

Na szczęście ogrodnik jedném cięciem swojego zakrzywionego noża, zdołał zabić żmiję, która, jak się potem przekonano, należała do gatunku najniebezpieczniejszych płazów tego rodzaju. Skoro wszyscy ochłonęli z przestachu, ogrodnik powiedział że jeszcze wczoraj przed wieczorem zebrał i ułożył w koszyku te kwiaty; ale ponieważ dzieci wyszły na spacer, postawił przygotowaną dla nich niespodziankę, w ogrodzie pomiędzy krzakami, ażeby rosa zachowała przez noc różom i lilijom ich świeżość i piękność. Wtedy to zapewne żmija wśliznęła się do koszyka i ukryła się pod kwiatami tak, że jój ogrodnik nie spostrzegł.

Po odejściu ogrodnika matka rzekła do dzieci:

— Przestrach któregoście doświadczyły, może być dla was zbawiennym na całe życie. Pamiętajcie, że jako ta żmija pomiędzy kwiatami, tak samo i złe kryje się często pomiędzy radością i przyjemnościami świata. Bądźcie zatem

przezornemi i nie zapominajcie nigdy przestróg
waszój matki.

Często grzech w rozkosze świata,
Swój zdradliwy powab wplata;
Można z nim porównać zmiję,
Co się w wonnych kwiatach kryje.

XXXII.

JASZCZURKA.

Jednego poranku uboga wdowa, której utrzymanie stanowiło po większój części zbieranie rzadkich ziół i odprzedawanie ich aptekarzom, zabrawszy dwoje dzieci, udała się za miasto na wysoką górę, na której wznosiły się zwaliska starożytnego zamku. Skoro już byli na wierzchołku, rzekła:

— Patrzcie, dzieci, jak te skały pokryte są gęsto poziomkami; zbierajcie i jedzcie do woli, ja tymczasem poszukam ziół wzdłuż tego nawpół zawalonego muru.

Dzieci klasnąwszy radośnie w ręce, zabrały się natychmiast do zbierania poziomek, a matka zaczęła szukać uzdrawiających roślin. Ale za-

ledwie kilka z nich znalazła, doszedł ją przeraźliwy krzyk małej Juleczki. Porzuciła więc wszystko i pobiegła czempredzój do dzieci, gdzie zastała swoją córeczkę zapłakaną i drżącą z przestachu.

— Co ci się stało? — spytała tuląc ją do piersi.

— Oh! moja droga mamol jakżem się przełękla — odrzekła Julcia — tam z pomiędzy skał wyszło do mnie szkaradne zwierzę, zapewne jadowite, które chciało mnie ugryźć!

Na te słowa Michaś, starszy o kilka lat od swojej siostrzyczki, śmiejąc się i podskakując zawołał:

— Ależ, moja mamol Julcia nie miała się czego bać, bo tém straszném i zjadliwém zwierzęciem była prosta jaszczurka!

— Jeżeli tak — mówiła matka — Michaś ma szluszność, kochana Juleczko; w samój rzeczy nie było się czego lękać, bo to piękne złotozielone zwierzątko, nie czyni nikomu najmniejszej krzywdy.

Kiedy w ten sposób matka uspakajała dziecię, nagle dał się słyszeć łoskot przeraźliwszy niż uderzenie piorunu, a cała góra zadrżała jak gdyby poruszona trzęsieniem ziemi.

Wszyscy troje ogarnięci trwogą zwrócili się w stronę z kąd pochodził ten hałas i spostrzegli, że ogromny bok zamku, który niedawno zdawał się chmur dosięgać i pod którym właśnie matka przed kilkoma minutami zbierała zioła, runął na ziemię.

— O! moje dzieci! — zawołała wtedy składając ręce — złóżmy dzięki Opatrzności! Któżby pomyślał, że przez małą jaszczurkę, Stwórcę ocali mi życie?... Gdyby to zwierzątko nie przestraszyło Juleczki, nie byłabym tu przybiegła i szukając pośród zwalisk, zostałabym w tej chwili przywaloną stosem tych ogromnych kamieni!...

Kto chce, łatwo dojrzyć może,
Jak Opatrzność litościwa
W każdym miejscu, w każdej porze,
Swą opieką nas okrywa.

XXXIII.

MORSKIE RYBY.

Pewien dość zamożny obywatel, zaprosił swoich przyjaciół na obiad do wiejskiego domku,

niedaleko Warszawy. Chciał on, jak mówił, uczęstować ich przewybornemi minogami, które były bardzo cenione z powodu trudności dowozu, gdyż wówczas nie było jeszcze żelaznych kolei.

Już mnóstwo potraw podano i zjedzono, kiedy zjawił się nareszcie starannie przykryty półmisek, na którym goście spodziewali się ujrzeć owe sławne minogi. Ale gdy podniesiono przykrywą, wszyscy wydali mimowolny krzyk zadziwienia, połączony ze śmiechem ujrawszy na półmisku kilka sztuk złota, zamiast oczekiwanych ryb.

Wtedy gospodarz tak przemówił:

— Kochani przyjaciele! minogi, któremi przyrzekłem was uczęstować, są w tym roku trzy razy droższe niż zwykle. Półmisek wystarczający na tyle osób, ile się nas tutaj zebrało, kosztowałby przeszło sto dwadzieścia złotych. Otóż kiedy już miałem posyłać po nie do Warszawy, przypomniałem sobie, że w sąsiedniej wiosce leży schorowany wyrobnik, którego dzieci nie mają co jeść, i że summa, którą trzeba zapłacić za półmisek minogów, wystarczyłaby na utrzymanie całej téj rodziny, blisko przez kwartał. Jeżeli zatem nie uwal-

niacie mnie od przyrzeczenia i chcecie koniecznie jeść minogi, pošlę natychmiast do miasta, a za pół godziny najdalej mój kucharz przyrządzi je i poda na stół; jeżeli zaś zgodzicie się, aby pieniądze potrzebne na te ryby posłać biédnej rodzinie, o której wspomniałem, każę wam podać wybornego karpia na szaro, rybę nie morską, nie zagraniczną wprawdzie, ale niemniej smaczną a do tego daleko zdrowszą i tańszą.

Wszyscy goście jednogłośnie okrzykiem zgodzili się na poczciwą i miłosierną propozycję gospodarza, a nawet każdy z nich dorzucił sztukę złota do pieniędzy leżących na półmisku. Tym sposobem biédny wyrobnik przez całe dwa lata nie potrzebował troszczyć się o utrzymanie dla siebie i dla dzieci.

Wstyd i hańba wam bogaci,
Co trwonicie dary Nieba,
Nie pomnąc na biédnych braci,
Którym braknie kęsa chleba!

K A R P I E.

Wincenty stary rybak miał blisko swojej chatki sadzawkę napełnioną świeżo ułowionemi karpami, które od czasu do czasu kładł w sporą barylkę i wysyłał do pobliskiego miasta na sprzedaż, przez swojego pomocnika Grzegorza.

Jednego dnia Grzegorz ukradł w sadzawce, należącój do zamku, prześlicznego karpia i wsunął potajemnie do barylki z rybami Wincentego, aby go sprzedać w mieście na własną korzyść. Ale gdy przyszedł do plenipotenty zamkowego, gdzie często nosił ryby, żona jego ujrzaawszy karpia, zawołała natychmiast:

— Ach! ten karp skradziony w dworskim stawie! zaraz go poznałam!

Daremnie się Grzegorz zapierał; nietylko że mu nie zapłacono, ale jeszcze musiał odsiedzieć dwa dni aresztu za kradzież.

Wkrótce potem znowu mu się udało schwycić w pańskiej sadzawce karpia, którego wraz z innemi rybami zaniósł do nadleśnego, ale i ten zaledwie zajrzał do barylki, zawołał:

— Oho! tego karpia skradłeś mojemu panu!

Grzegorz znowu został uwięziony na trzy dni o chlebie i wodzie.

Jednakże mimo dwukrotnej kary, uparty złodziej chciał jeszcze poprobować szczęścia. Po raz trzeci zatem skradł w zamkowej sadzawce ogromnego karpia, lecz zamiast do znajomych zaniósł go na targ, będąc pewnym, że tam nikt nie pozna ani ryby, ani jego samego, i że w miasteczku nikt wiedzieć nie może o jego niegodziwych sprawkach. Ale strażnik placu targowego, który się ciągle przechadzał między straganami rybaków, zaledwie rzucił okiem na Grzegorzowego karpia, krzyknął na całe gardło:
— To ryba kradziona!

Winowajca struchlał, tymczasem strażnik ująwszy go za kołnierz, zaprowadził do policyi, gdzie oprócz należytej kary cielesnej, osądzono go na pół roku więzienia.

Tam dopiero żalując zapóźno swojego występu, Grzegorz mówił do siebie:

Jestem ukarany słusznie, ale nie mogę wyjść z podziwienia, jakim sposobem każdy mógł poznać odrazu, że te karpie były kradzione?...

Otóż powiem wam, kochane dzieci, na czem się zasadzała tajemnica tych odkryć. Intendent zamku zarybiając młodemi karpiami stawy dzie-

dzica, ucinał im zawsze małą częśćkę ogona. Zaufane osoby wiedziały o tém, ale kto nie wiedział, niepodobna aby na piérwszy rzut oka mógł dostrzedz taki niepokaźny znaczek.

Dlatego téż Grzegorz daremnie nałamawszy sobie głowę, aby odkryć tajemnicę, którą uważał za cud, zawołał nawpół z płaczem:

— Bądźcobądź, z tego wszystkiego o tém się tylko przekonałem, że kiedy kradzież jest grzechem, nie trzeba obrażać nią Pana Boga i krzywdzić bliźniego.

Złodzieja zawsze złapią, choć w swą zręczność wierzy,
Choć się skryje i niby niczego nie lęka;
Lada drobnostka zdoła dowieść mu kradzieży,
Bo do wykrycia prawdy wie dzie Boska ręka.

XXXV.

ZŁOTA WĘDKA.

Młody pewien ksiązę, znudzony jednostajnością salonowych rozrywek, zapragnął zabawić się łowieniem ryb na wędkę. Kazał tedy zrobić sobie bardzo ozdobny kij, czyli wędzisko, u końca którego zaczepiono złoty haczyk na jedwa-

bnym sznureczku i tak zaopatrzony, poszedł na brzeg jeziora łowić ryby. Zaledwie zarzucił wędkę, pięknie malowany i wyzłacany splawik zadrzał; książę z radością poderwał wędzisko i wyciągnął bardzo małą rybkę. Nie zniechęcony pierwszym niepowodzeniem, zarzucił powtórnie. Tym razem wielki szczupak złakomił się na ucepionego do wędki robaka, ale skoro połknął go uczuł zdradę, szarpnął się mocno, zerwał jedwabny sznurek i znikł w jeziorze razem ze złotym haczykiem.

Wtedy książę powiedział do otaczającej go służby:

— Widzicie moi drodzy, że na złoty haczyk zaledwie można złowić nędznego kielbia; przynieście mi żelazny, bo nierozsądnie narażać się na znaczną stratę dla mizernego zysku. Z moją złotą wędką stałem się podobnym do owych nie umiarkowanych graczy w loteryą lub nierozważnych spekulantów.

Kto na niepewne zyski rzuca się z ochotą,
Zawierzając majątek ślepemu trafowi;
Ten zwykle ryzykuje niby wędkę złotą,
Na którą częściej kielbia niż szczupaka złowi.

P S Z C Z O Ł Y.

1.

Ludwik wbiegłszy do ogrodu sąsiada spostrzegł prześliczny różany krzak, cały pokryty kwiatami.

— Co za różel!—zawołał zachwycony—muszę zerwać jedną z najpiękniejszych i nasycić się do woli jój przyjemną wonią!

Jak wyrzekł, tak uczynił; lecz zaledwie zbliżał do nosa nawpół rozwiniętą różę, uczył mocne i bolesne ukłucie. Ukryta między listkami pszczoła, którą Ludwik nie widząc przyniół zbytecznie, ukłuła w nos małego roztrzępańca.

W nierozważnej przyjemności,
Żal lub boleść często gości:
Jest to pszczołka niecierpliwa,
Co wśród kwiatów się ukrywa.

2.

Ludwik był chłopcem bardzo popędliwym, la-da drobnostka wprowadzała go w niepomiarko-

wany gniew; uczuwszy zatem boleść jaką mu sprawiło żądło pszczoły, rzucił różę na trawnik, wybiegł z ogrodu, za którym stało kilka ulów i chcąc się zemścić, zaczął w nie rzucać pełnemi garściami piasku i żwiru.

Zniecierpliwione pszczoły całym rojem rzuciły się na napastnika. Daremnie Ludwik oganiał się na wszystkie strony, więcej niż sto żadeł ukłuło go w twarz i rękę. Po takiej potyczce, nierozważny chłopiec zachorował śmiertelnie i zaledwie po kilku miesiącach okropnego cierpienia przyszedł do zdrowia.

Często dolegliwość małą
Znieś cierpliwie, przetrwaj śmiało;
Bo tym, co do złości skorzy,
Większych cierpień gniew przy mnoży.

XXXVII.

PSZCZOŁY I RÓŻE.

Adolf chciał zerwać kilka róż do bukietu, ale kilka kolców weszło mu w palce tak, że biedny chłopczyzna uczuł dotkliwą boleść. Innego dnia chciał pokosztować miodu prosto z ula,

lecz zaledwie się zbliżył, pszczoły pokłuły go żądlami i znowu kilka dni musiał cierpieć i nudzić się w domu.

Skoro wyzdrowiał, rzekł do ojca:

— Mój drogi ojcze! powiedz mi, dlaczego te śliczne kwiaty mają takie ostre kolce i dlaczego pszczołki, które wydają taki słodki miód, mają tak zjadliwe żądła?

— Może to dlatego—odpowiedział ojciec—aby nam przypominać, że nawet najpiękniejsze i najśłodsze rzeczy mogą się stać zgubnymi dla tych, którzy chcą ich używać bez umiarkowania i przeczności.

Róża ma woń i piękność, pszczoła miód wydaje,
Miód słodki, kwiat ozdabia ogrody i gaje;
Lecz zbliżając się do nich, przezorność posłuży,
Bo u pszczoły jest żądło, a kolce u róży.

XXXVIII.

DWA MOTYLE.

1.

Pewnego wieczora ojciec Jakób siedział otoczony dziatwą w pawilonie wychodzącym na ogród. Podczas herbaty dwa motyle ze skrzydełkami

centkowanemi purpurą i złotem, wleciały przez otwarte okno i zaczęły wesóło krążyć nad jasnym światłem lampy, którą tylko co wniesiono do pokoju. Ojciec daremnie chciał je odpędzić chustką; uparte motyle dopóty fruwały nad płomieniem, aż jeden z nich zbliżywszy się zabardzo, popalił sobie skrzydelka i nóżki i upadł na stół bez życia.

— Kochane dzieci—rzekł ojciec—to co się przytrafiło motylowi, który niebezpieczny płomień lampy wziął za światło dzienne, dzieje się często z ludźmi, którzy zbyt łatwo dają się olśnić złudnemi pozorami świata. Tacy łatwowierni dążą ku własnej zgubie i przez brak rozwagi, nawet życie swoje narażają.

Często płochość, dziatki lube,
Spełniona jawnie czy skrycie,
Może narazić na zgubę
Waszą przyszłość, wasze życie.

2.

Drugi motyl, który w czasie nieszczęścia swojego towarzysza usiadł na stole, byłby niezawodnie doznał tego samego losu, ale w chwili kiedy się już miał zerwać, ojciec chcąc ocalić od śmierci,

nakrył go czempredzej filiżanką do góry dnem przewróconą.

— Gdyby to zwierzątko mogło się zastanawiać i mówić—rzekł wówczas Jakób do dzieci—możeby mi czyniło wyrzuty, że je tak niełitościwie zamknął w ciemnym więzieniu; bo mój motylek nie wyobraża sobie zapewne, że mu wyświadczył wielką przysługę i że jutro raniuténko wypuszczę go na wolność.

Często i my w podobny sposób oskarżamy dobroć Stwórcy, który w najmędrszych, najtkliwszych zamiarach doświadcza nas niekiedy doczesnemi troskami, aby zachować od zguby i przygotować do przyszłego szczęścia w Niebie.

Znośmy cierpliwie doczesne troski,
Chrońmy od skazy sumienie,
Może łzy nasze idąc przed Tron Boski,
Okupią wieczne zbawienie.

XXXIX.

MUCHY I PAJĄKI.

Pewien młody książę zapytał swego nauczyciela:

— Powiedz mi pan, na co Bóg stworzył muchy i pająki? Te owady weale nie są poży-

teczne dla ludzi. Gdyby to było w mojej mocy, kazałbym je wszystkie na całej kuli ziemskiej wyniszczyć.

— Wszystko stworzenie—odrzekł nauczyciel—to wielkie, że tak powiem, gospodarstwo Boże, jest tak mądrze urządzone, że każda istotka choćby najmniejsza, ma swoje właściwe przeznaczenie. Najdrobniejszy owad nie żyje bez pożytku, chociaż nie zawsze możemy ściśle oznaczyć, na co który potrzebny.

— Niech i tak będzie—odpowiedział młodzieniec—przypuścimy, że dla całości stworzenia owady są potrzebne, ale dla człowieka są one tylko powodem niecierpliwości, bo mu przez całe lato uporeczywie dokuczają.

— Kochane dziecię — dodał nauczyciel — wierzaj mi, że Bóg za pomocą najdrobniejszej istotki, może dać człowiekowi dowód swojej ojcowskiej dobroci i opieki.

— Ciekawy jestem, jakim sposobem za pomocą muchy albo pająka, Pan Bóg może dać człowiekowi dowód swojej opieki?... — szepnął niewyraźnie młody panicz; ale nauczyciel nie dosłyszał tego i zaczął mówić o jakimś innym przedmiocie.

W kilka lat młody książę wyrosłszy na do-rodnego rycerza, udał się na wojnę, gdzie po porażce zmuszony był uciekać przed nieprzyjacielem. Wieczorem dostawszy się do lasu, upadł znużony pod drzewem i zasnął. Jeden z nieprzyjacielskich żołnierzy ścigając go z daleka, udał się tą samą drogą, a po półgodzinnem poszukiwaniu spostrzegłszy śpiącego, zbliżył się po cichu z dobytym pałaszem, chcąc go zgładzić ze świata. Tymczasem mucha, która sobie spokojnie łąziła po twarzy księcia, nagle tak go ukąsiła w policzek, że się natychmiast obudził, dobył pałasza i zmusił napastnika do ucieczki.

Skoro niebezpieczeństwo minęło, młody książę już ostrożniejszy, schronił się do jaskini położonej o kilkaset kroków dalej. Zdarzyło się, że po jego wejściu pajak zaciągnął nie wielki otwór téjże jaskini swoją misterną siatką, nad którą całą noc pracował. Żołnierze nieprzyjacielscy szukając tymczasem młodego dowódcy, o świetle zatrzymali się przed wejściem do jego kryjówki.

— Patrzaj, kolego—mówił jeden z nich—niezawodnie ten zuch tutaj się schował.

— To być nie może—odpowiedział drugi—bo wchodząc byłby rozdarł pajęczą sieć, którą widzisz w samym otworze jaskini.

— Masz słuszość — dodał pierwszy — nie traćmy czasu, pójdźmy dalej; pewno księżę wymknął się z lasu i uciekł inną drogą.

Ukryty młodzieniec słyszał całą tę rozmowę, a gdy żołnierze odeszli zawołał ze wzruszeniem, wznosząc ręce ku Niebu:

— Oh! mój Boże! ileż winienem Ci wdzięczności! Dwa razy ocaliłeś mi życie za pomocą dwóch drobnych stworzeń: muchy i pająka! Oh! jakże wszystko coś stworzył! jest potrzebnem i przytecznem!

Bóg, co potężny piorun ukrył w drobnej chmurce,
Nic nie stworzył bez celu; lecz umysł człowieczy
Nie dociekł jeszcze każdej przeznaczenia rzeczy;
Wielbij więc Boskie dzieła i kochaj ich Stwórcę.

XL.

P E R Ł Y.

1.

Na jednej z owych niezmiernych pustyń zajmujących środkową Afrykę, zabłąkał się pewien podróżny. Od dwóch dni wyczerpawszy swoje zapasy, nadaremnie starał się znaleźć jakibądź

posiłek; nadaremnie szukał choć kropli wody, aby przynajmniej pragnienie zaspokoić. Nareszcie spostrzegł zdaleka drzewo i zebrawszy ostatek sił, dowlókł się przecie do niego. Jakaż była jego radość, kiedy pod drzewem ujrzał wytryskujące źródło świeżej wody! Ale cóż? zaspokoivszy pragnienie, nie zaspokoił głodu, a na drzewie nie było ani jednego owocu, tylko opodal leżał obok kamienia, nie wielki, starannie zawiązany woreczek.

— Bądź pochwalony Wszechmogący Panie!—zawołał podróżny wzięwszy go w ręce— czuję przez płótno, że w tym woreczku jest groch, który nie pozwoli mi umrzeć z głodu!

I chciwie rozwiązał sznurek, ale zajrzawszy wewnątrz, dodał z boleścią:

— Oh! mój Boże! myślałem że to groch, a to tylko perły!

Chleb, którym Bóg nas codziennie żywi ze szczodrocią,
Jest stokroć droższym skarbem, niż perły i złoto.

2.

Biedny podróżny czuł, że za kilka godzin umrze z głodu obok znalezionych pereł, których war-

tość zapewne dochodziła kilku tysięcy dukatów. Jednakże nie tracąc nadziei, zaczął gorąco modlić się do Boga. Wtem spostrzegł Maura pędzącego z wielkim pośpiechem na wielbłądzie.

— Onto właśnie pijąc wodę u źródła, zapomniał owego woreczka z perłami; to też odzyskawszy swoją zgubę, nie posiadał się z radości, uczęstował zgłodniałego chlebem i wybornymi owocami, poczem zabrał go na swojego wielbłąda.

— Widzisz—rzekł Maur—jak cudowne są drogi Opatrzności! Uważałem zgubę moich pereł za wielkie nieszczęście; tymczasem była ona szczęściem tak dla ciebie, jako i dla mnie, ponieważ Bóg chciał abym wróciwszy po perły, tobie ocalił życie, a sam obok odzyskania straty, uniósł słodką pociechę, żem dopełnił obowiązku ludzkości.

Kto ufa Bogu pewnym być może,
Że miłosierdzie wesprze go Boże.

XLI.

Z Ł O T O.

Dwaj bracia, Gustaw i Ludwik, przebyli morze i udali się daleko ztąd, do innéj części świata, aby się tam dorobić majątku.

Gustaw za niewielką sumkę kupił kawałek nieuprawnego gruntu, wziął się szczerze do pracy i wkrótce miał podostatkiem zboża i chleba.

Ludwik poszedł w góry szukać złotego piasku, ale ponieważ w miejscach odludnych bogactwa nie mają wielkiej wartości, wiódł bardzo nędzne życie; całem jego pożywieniem były korzonki i kora z drzew. Nareszcie wrócił do brata z workiem pełnym złotego piasku.

— Patrz kochany bracie, jak los był dla mnie łaskawym!—zawołał po przywitaniu — to złoto do mnie należy; ale daj mi co jeść, bo umieram z głodu i utrudzenia.

— Dobrze—odpowiedział Gustaw—dam ci jeść, ale musisz mi zapłacić tyle złota, ile zawąży chleb który u mnie spożyjesz.

Ten warunek wcale się nie podobał Ludwikowi, jednak biedny chłopiec musiał przystać na wszystko, bo był tak osłabiony i wycieńczony niewygodami, że nie mógł iść dalej.

Po kilku dniach wszystko złoto przeszło w ręce Gustawa, a gdy już Ludwik nie miał mu czem płacić, gospodarz tak odezwał się do niego:

— Kochany bracie, oddaję ci twój skarb, bo nie jestem tyle okrutnym, abym naprawdę zamierzał przywłaszczyć sobie to, co należy do

ciebie. Chciałem cię tylko przekonać, że bogactwa nie stanowią naszego szczęścia i że zamiłowanie pracy, przestawanie na małym i czyste sumienie, znaczą daleko więcej niż chciwie zgromadzone złoto.

Iluż to ludzi życie sobie skraca,
 Zbierając skarby i dręcząc się niemi,
 Kiedy największem bogactwem na ziemi,
 Jest spokój duszy i wytrwała praca.

 XLII.

DROGIE KAMIENIE.

Znakomita pani zamówiła u jubilera wspaniałą naszyjnik i koleczki, do których powierzyła mu kilkanaście wysokiej wartości kamieni.

Robert pozostający w nauce u tegoż jubilera, z wielką przyjemnością przypatrywał się owym szmaragdów, rubinów i brylantów, podziwiając ich żywy blask i prześliczne kolory.

Pewnego dnia jubiler spostrzegł, że mu brakuje dwóch najpiękniejszych kamieni. Natychmiast powziął podejrzenie na swego ucznia i w nadziei znalezienia ich, przetrząsnął cały po-

koik Roberta. Jakoż w istocie znalazł dwa brylanty schowane w małeńkiem wydrążeniu w murze nad szafką, w której Robert składał swoje ubranie.

Biédny chłopiec nadaremnie zaklinał się na wszystko, że nie ukradł kamieni: pryncypał ukarawszy go surowo, wypędził z domu, mówiąc, że i tak łagodnie się z nim obchodzi, gdyż inny oddałby go w ręce sprawiedliwości.

Ale nazajutrz znowu zginął jeden z największych szmaragdów i znowu jubiler pomimo nieobecności Roberta znalazł go w téj saméj kryjówce.

Wtedy postanowił przekonać się kto był sprawcą kradzieży, i zaczaiwszy się w pracowni począł pilnie uważać. Po kilku chwilach sroka wychowana i oblaskawiona przez Roberta, sfrunęła z klatki na warsztat, i wzięwszy w dziób jeden z większych brylantów, uciekła z nim do pokoiku wypędzonego ucznia.

To objaśniło cały wypadek. Jubiler serdecznie żałował swojej niesprawiedliwości względem niewinnego Roberta, przywrócił go na dawne miejsce i odtąd obchodził się z nim prawdziwie po ojcowsku. Prócz tego nigdy już nie posądzał lekkomyślnie nikogo, bo wiedział,

że tym sposobem można często sprawić bliźniemu niezasłużoną boleść, a sobie gorzki wyrzut sumienia.

Kto do posądzania skory,
Kto bliźniego z cnót odziera,
Złym jest siewcą, złe ma zbiory,
Bo żółé sieje, a żal zbiera.

XLIII.

DROBNE KAMYCZKI.

Mały Florek, parobek u dworskiego fornala, popadł w niebezpieczną chorobę z powodu nadużywania wódki. Wezwany lekarz rzekł:

— Jeżeli nie wyrzeczysz się zupełnie gorzałki i innych mocnych napojów, z pewnością umrzesz, bo to prawdziwa trucizna dla młodych ludzi.

— Na nieszczęście nie będę mógł wyrzec się — odpowiedział chory — bom się za bardzo przyzwyczaił do wódki. Nie mógłbym żyć, gdybym codzień nie wypił tój oto fiaszeczki.

— Niech i tak będzie — rzekł doktor po małym namyśle — przyrządzę ci lekarstwo, od którego niezawodnie wyzdrowiejesz.

Nazajutrz przyniósł mu spore pudełko oklejone i zapieczętowane. Florek mniemając, że to proszek lub pigułki, otworzył je i chciał zażyć; ale jakże się zdziwił ujrzawszy w pudełku starannie oplukane drobne kamyki! Z wielką więc ciekawością spytał co z nimi robić, na co lekarz odpowiedział:

— Codzień włożysz do twojej flaszeczki z wódką jeden z tych kamyków, ale pamiętaj, abyś raz włożonego nie wyjmował: skoro w ten sposób wypróżnisz całe pudełko, wódka nie będzie ci szkodzić.

Chory myśląc, że te kamyki mają moc odjęcia wódce szkodliwych części, zastosował się ściśle do polecenia doktora i codzień rano wpuszczał po jednym do flaszki. Tym sposobem nie spostrzegłszy się, codzień pił po kilka kropel mniej, a gdy nareszcie flaszka do samego korka napełniła się kamyczkami, Florek stracił zupełnie swój szkaradny i zgubny nałóg.

Kto chociaż drobne usiłowanie
Czyni codziennie ku wad poprawie,
Tego i Pan Bóg wesprze łaskawie,
Że wkrótce od nich wolnym zostanie.



w Lit. M. Łajansa

KAMIEŃ BRUKOWY.

BIBLIOTEKA
BN
NARODOWA

KAMIEŃ BRUKOWY.

Bogaty właściciel pokłócił się raz z biednym wyrobnikiem, a uniesiony gniewem, rzucił na niego brukowym kamieniem. Biedak nie mówiąc ani słowa więcej, podniósł kamień i zabrał go z sobą do domu.

— Kto wie — myślał sobie przez drogę — może i na mnie przyjdzie kolej, że będę mógł tym samym kamieniem rzucić na mojego nieprzyjaciela, bez obawy odwetu.

Wkrótce potem zamożny właściciel przez swoją dumę, próżniactwo i rozrzutność, został przywiedziony do zupełnej nędzy i pewnego dnia okryty łachmanami zbliżył się do chatki wyrobnika.

Pamiętny urazy wyrobnik chwycił za kamień i podniósł rękę chcąc nim uderzyć nieszczęśliwego; lecz nagle wstrzymał się, a pomyślawszy chwilę, rzekł sam do siebie:

— Teraz czuję, że nigdy nie trzeba złem za złe odplacać. Dopóki mój nieprzyjaciel był bogatym i moźnym, opierałem się pokusie zemsty;

teraz zaś dopełnić ją na nieszczęśliwym, byłoby okrucieństwem niegodnem chrześcianina.

To powiedziawszy rzucił kamień na ziemię i zamiast wyrządzenia przykrości, dał spory kawał chleba zubożałemu bogaczowi, którego głód przywiódł do żebractwa.

Kto za złe dobrem płaci, uraz zapomina,
Ten spełnia obowiązek święty chrześcianina.

XLV.

WOREK ZIEMI.

Zamożny i bogaty dziedzic, dla powiększenia swego ogrodu wydarł sąsiadce, ubogiej wdowie, nie wielki kawałek gruntu, który stanowił całe jej utrzymanie. Nazajutrz gdy zwiedzał nieprawnie zagarniętą rolę, nieszczęśliwa kobieta zbliżyła się do niego z pustym workiem przerzuconym przez ramię i płacząc prosiła:

— Zmiłuj się pan! pozwól mi z dziedzictwa moich przodków zabrać przynajmniej tyle ziemi, ile się zmieści w ten worek!

— Nie mogę odmówić temu, aczkolwiek dziwnemu żądaniu—odpowiedział bogacz z pogardliwym uśmiechem.

Wdowa ukopała natychmiast trochę ziemi, a gdy już napelniła swój worek, rzekła:

— Jeszcze o jedną łaskę błagam wielmożnego pana; oto, abys mi raczył poddać ten worek na plecy.

Bogacz nie mający najmniejszej chęci trudzić się w ten sposób, odmówił z gniewem i szyderstwem, co jednak nie zraziło ubogiej wdowy, która ciągle powtarzała swoją prośbę. Nareszcie znużony wydzierca, przystał na jej żądanie; ale nie przyzwyczajony do dźwigania ciężarów, za ledwie dotknął worka, zawołał:

— Nie! ja nie zdołam tego podnieść, to dla mnie zaciężkie!

Wtedy wdowa rzekła do niego śmiałym i uroczystym głosem:

— Panie! jeden worek tej ziemi jest zaciężki na twoje siły, a jakże zdołasz podźwignąć to całe pole, którem chcesz na wieki obciążyć twoje sumienie, a które nawet w tysiąc podobnych worków pomieścić się nie da!

Przerażony temi słowami przywłaszczyciel, wrócił natychmiast dziedzictwo biednej wdowie

wyznał pokornie, że się dopuścił niesprawiedliwości i za kilkodniowe cierpienie, hojnie wynagrodził pokrzywdzoną kobietę.

Lepiej z uczciwej pracy zbierać zysków mało,
Niż popełniać wydzierstwo; źle nabyte mienie
Jest największym ciężarem, bo przez wieczność całą,
Każda łza pokrzywdzonych, przygniata sumienie.

KONIEC.

SPIS PRZEDMIOTÓW.

CZEŚĆ PIÉRWSZA.

	Stron.
I. Ogródek	5
II. Najpiękniejsze kwiaty.	8
III. Róże.	9
IV. Lilija.	12
V. Gwóźdźnik	13
VI. Konwalija	15
VII. Niezapominajki	18
VIII. Rezeda	19
IX. Wieniec z kwiatów.	20
X. Poziomki	22
XI. Wiśnie	25
XII. Jabłonka	27
XIII. Jabłka	29
XIV. Wielka grusza	30
XV. Gruszka w cukrze	33
XVI. Śliwki	34
XVII. Orzech	36

	Stron.
XVIII. Zielony orzech	37
XIX. Łupinka orzecha.	38
XX. Pozłacane orzechy	40
XXI. Kasztany	42
XXII. Winogrona.	43
XXIII. Szczep winny.	45
XXIV. Winnica	46
XXV. Dwa ogródki	47
XXVI. Odłamek kija.	49
XXVII. Kapusta	51
XXVIII. Ogromna głowa kapusty	53
XXIX. Rzepa	54
XXX. Śliczny owoc purpurowy.	56
XXXI. Dukatowe drzewo	58
XXXII. Cudowne ziele	60
XXXIII. Żiarneczko maku	61
XXXIV. Dynie	63
XXXV. Żołądź i dynia	65
XXXVI. Wspaniały dąb	66
XXXVII. Dąb	68
XXXVIII. Wierzba i dąb	71
XXXIX. Grzyby.	72
XL. Pole	73
XLI. Pochyłe kłosa	74
XLII. Łozina i słoma.	75
XLIII. Groch	77
XLIV. Nasienie lnu.	78
XLV. Graniczny słupek.	80

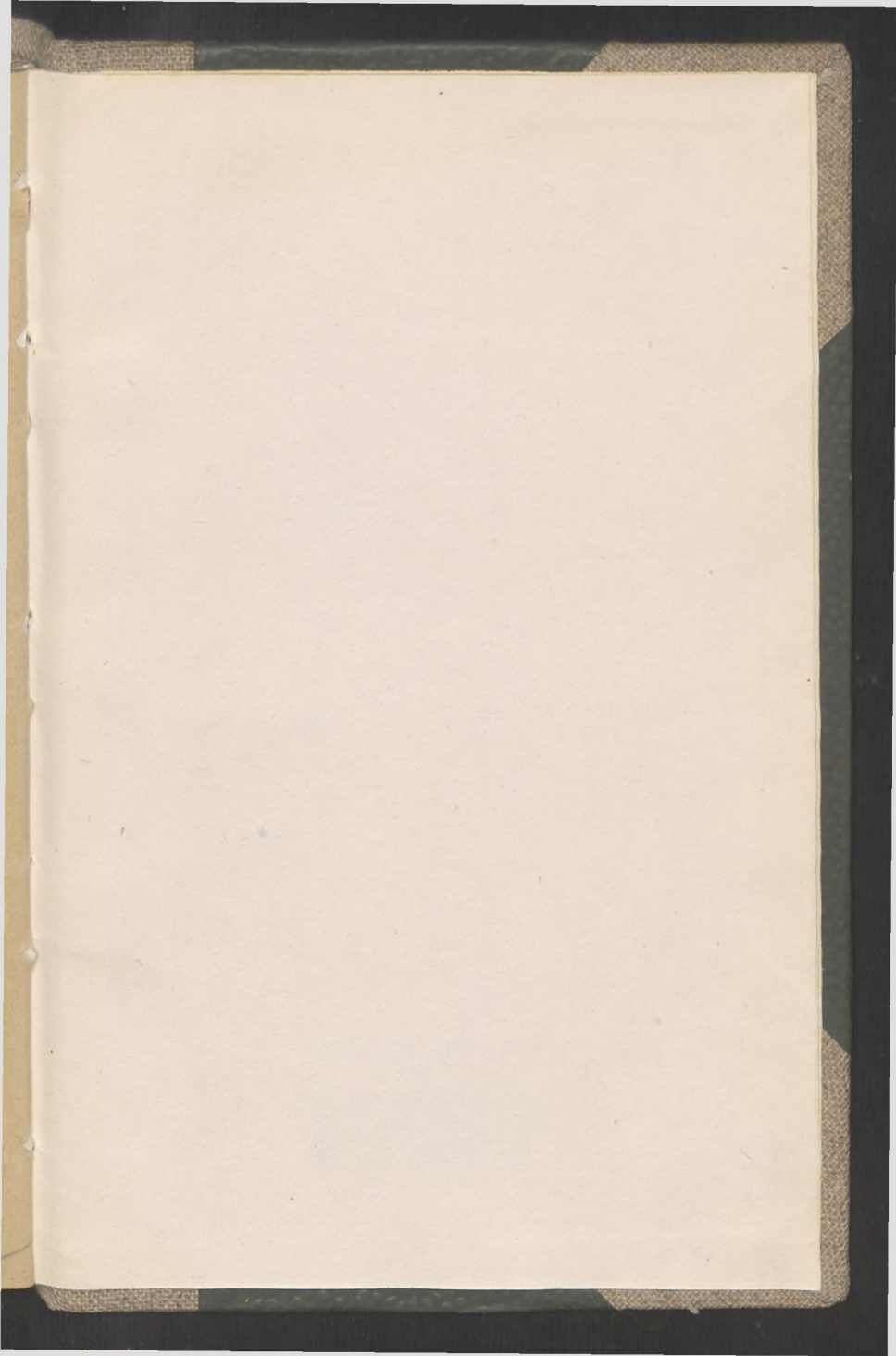
CZEŚĆ DRUGA.

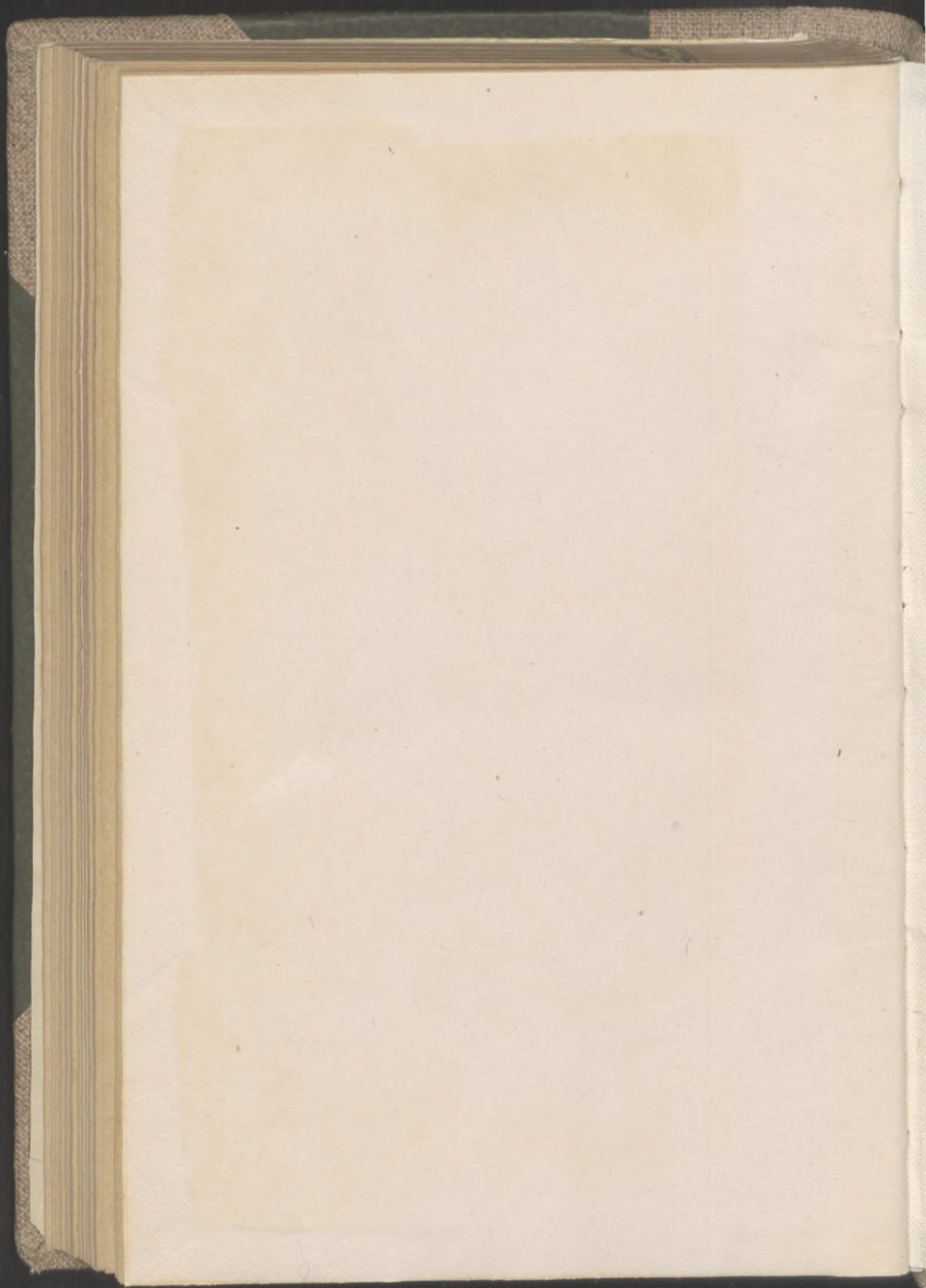
	Stron.
I. Ptaki	82
II. Kanarek	84
III. Jaskółki	86
IV. Wróble.	88
V. Gołębie	90
VI. Kogut	92
VII. Kura	94
VIII. Jajko	95
IX. Geś	97
X. Trznadło	99
XI. Sikora	101
XII. Szpak	103
XIII. Bocian	104
XIV. Kukułka	106
XV. Kuropatwie gniazdo	108
XVI. Wielkie gniazdo	109
XVII. Papuga	111
XVIII. Piękny wierzchowiec.	113
XIX. Podkowa	116
XX. Gwóźdź od podkowy.	118
XXI. Krowa	119
XXII. Dzwonek.	121
XXIII. Owce	125
XXIV. Kozieł	128
XXV. Jeleń	130
XXVI. Lew	132
XXVII. Mysz	134
XXVIII. Wilk	136

	Stron
XXIX. Niedźwiedź.	137
XXX. Małpa	139
XXXI. Żmija.	141
XXXII. Jaszczurka.	143
XXXIII. Morskie ryby.	145
XXXIV. Karpie	148
XXXV. Złota wędka	150
XXXVI. Pszczoły	152
XXXVII. Pszczoły i róże	153
XXXVIII. Dwa motyle	154
XXXIX. Muchy i pająki	156
XL. Perły	159
XLI. Złoto	161
XLII. Drogie kamienie	163
XLIII. Drobne kamyczki	165
XLIV. Kamień brukowy	167
XLV. Worek ziemi 	168



*Antykar, Fish
Wrocław
23. 11. 925*





Biblioteka Narodowa
Warszawa



30001019999713



826311
